

1956

12

Ramen

T R E Ś C

PO ZJEŹDZIE	1
JÓZEF CZECHOWICZ:	2
POECI LUBELSCY: <i>Franciszka Arnsztajnowa</i> — Głos poległych; <i>Józef Czechowicz</i> — Księżyc na mieście; <i>Stanisław Grędziński</i> — Skazańcy; <i>Stanisław Ludwik Michal-</i> <i>ski</i> — Topielcy; <i>Mieczysław Kossowski</i> — Chciałem napisać do was wiersz; <i>Henryk</i> <i>Domiński</i> — Wrózenie; <i>Władysław Podstawka</i> — Do matki; <i>Józef Łobodowski</i> — Z „Dumy o żołnierzu”; <i>Konrad Bielski</i> — Ewokacja; <i>Wacław Gralewski</i> — Legen- da; <i>Antoni Madej</i> — Muzy; <i>Tadeusz Bocheński</i> — Kontemplacja; <i>Eugeniusz Gołę-</i> <i>biowski</i> — O broń i orły narodowe; <i>Bogdan Żyranik</i> — Mężę i płaczki; <i>Helena Plat-</i> <i>ta</i> — Do siostry z Debreczyna; <i>Stanisław Bojarczuk</i> — Z „Rozmyślań”; <i>Kazimierz</i> <i>Andrzej Jaworski</i> — Siostry; <i>Wacław Iwaniuk</i> — Nieznanemu; <i>Jan Szczawiej</i> — Dedykacja; <i>Wacław Mrozowski</i> — Kołysanka; <i>Witold Kasperski</i> — Burza; <i>Zdzi-</i> <i>śław Popowski</i> — Południe; <i>Zygmunt Mikulski</i> — Prawda, stęskniłem do banału; <i>Stefan Wolski</i> — Meldunek partyzanta; <i>Maria Szczepowska</i> — Chorągiew; <i>Marek</i> <i>Adam Jaworski</i> — Bolesne słowa; <i>Stefan Zarebski</i> — Po to, by w manii żarliwej pozbiierać.	3
MARIA BEHCZYC-RUDNICKA: By rady dały radę	17
FRANCISZEK OSIĄK: Krzywdzące zapomnienie	18
SŁAWOMIR SOBOCKI: Gwiazdka dorosłych	21
EDGAR ALLAN POE: Eldorado — spól. <i>Maria Behczyc-Rudnicka</i> ; Kruk — przeł. <i>Ka-</i> <i>zimierz Andrzej Jaworski</i>	24
RAINER MARIA RILKE: Samotność; Oblęd — przeł. <i>Janina Brzostowska</i> ; Ma księ- ga — wieczór; Staruszka — przeł. <i>Stefan Zarebski</i>	27
KONRAD EBERHARDT: Przed — i w czasie potopu	28
WŁODZIMIERZ CHELMICKI: Rozmowa z sobą	32
Z ŻYCIA LUBELSKIEGO ODDZIAŁU ZLP	35
STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ: Nowa rzecz Gołębiowskiego	35
O CZYM PISAŁA KAMENA PRZED 20 LATY	36
ODPOWIEDZI REDAKCJI (3 strona okładki)	

Artemena

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK XXIII

LUBLIN, 1956

Nr 12 (118)

PO ZJEŹDZIE

VII Walny Zjazd Delegatów ZLP jest już poza nami. Odbył się w klimacie naszej wiosny październikowej poprzedzonej odwilżą po XX Zjeździe KPZR, obradami XIX sesji Rady Kultury i Sztuki, Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Oddziale Warszawskim ZLP, głosami pisarzy zamieszczanymi przez długie miesiące na łamach pism literackich. Zjazd potwierdził ostatecznie powszechną opinię zarówno twórców książek jak i ich odbiorców, postawił kropkę nad i, uczynił 180-stopniowy zakręt z drogi szczecińskiej. Znalazło to wyraz zarówno w wielu wypowiedziach, jak i w zmianach wprowadzonych do statutu związkowego, w powziętych uchwałach i w składzie osobowym nowego zarządu.

Przemówień było wiele, przeważały polityczne (najgłębsze — Dąbrowskiej), o sprawach ściśle związkowych, zawodowych mówiono mniej. Niektórzy zbyt osobiście wyzwalali się z różnych kompleksów. Kilka wypowiedzi stało na wysokim poziomie i dotyczyło spraw bardzo istotnych dla naszej literatury: Jastrun namiętnie bronił wolności słowa, Zawieyski i Kisielewski bardzo humanitarnie głosząc „amnestię“ spuszczała zasłonę na niesławną przeszłość zbyt zaangażowanych w linię szczecińskiej kolegów, nawołując do zgodnych wysiłków w celu podniesienia autorytetu pisarskiego i odbudowy zaufania do literatury, Przyboś i Sandauer wzywali do europeizacji naszej sztuki i kultury, do tępienia prowincjonalizmu i tandety.

Były na Zjeździe momenty wzruszające: spontaniczna owacja dla nieuznawanego przez długie lata Szaniawskiego, częste wyrazy współczucia i sympatii dla krwawiących Węgier, żarliwe, odważne przemówienie Woroszyńskiego, naocznego świadka tragedii węgierskiej.

Do głosu przyszli ci, co przez wiele lat milczeli lub byli przemilczani. Niektórzy z nich weszli do nowego Zarządu; skład jego — partyjni, bezpartyjni, katolicy — symbolizuje Front Narodowy w literaturze. Osoba prezesa, Antoniego Słonimskiego, który przed wojną w okresie sanacji, jak i po wojnie w okresie berio-wszczyzny był niezależnym liberałem w najtrudniejszych warunkach zachowując własną „twarz“, powinna dobrze rokować o przyszłej pracy nowego Zarządu.

Zmiany statutowe Związku poszły drogą „demokratyzacji“. Odrzucono całkowicie ideologiczny, w duchu szczecińskim, wstęp do niego, wrócono do przedwojennej rocznej kadencji Zarządu, skasowano szkolarskie sekcje twórczości i kandydowanie w Związku, wyrzeczono się zebrań rozszerzonych plenów, uchwalono zjazdy doroczne. Innowacją niezbyt szczęśliwą jest przyznanie biernego prawa wyborczego tylko delegatom.

Z licznych uchwał, do których wykonania ma dążyć nowy Zarząd, na uwagę zasługuje dezyderat zniesienia cenzury rewencyjnej, naprawienia krzywd politycznie prześladowanym literatom, nawiązania stosunków z pisarzami na emigracji i ich prasą, żądanie interwencji w wydawnictwach celem wprowadzenia zmian w planach wydawniczych na rok najbliższy na rzecz autorów pomijanych dotychczas.

Czterodniowe obrady mimo pewną ich chaotyczność nie były jałowe. Wszyscy wynieśli z nich jedną prawdę — pozorny truizm — jakże świeżą i kuszącą a i trudną zarazem: że literaci są od tworzenia dobrej literatury.

Niniejszy numer naszego miesięcznika, ostatni przed przejściem „Kameny“ w przyszłym roku na dwutygodnik w innym formacie, pomyślany jest właśnie w duchu, który przenikał obrady zjazdowe. Chcieliśmy się wyzwolić z narzucanego balastu różnych sugestyj i pomysłów, dalekich od literatury, a przerastających nasze możliwości. Postanowiliśmy nawiązać do dawnej „Kameny“ i przypomnieć czytelnikom tradycje poezji lubelskiej wydobywając z zapomnienia nazwiska tych, co od nas odeszli, i oddając głos żyjącym, tym starszym i tym młodym. Wojna jak wszędzie tak i w naszym środowisku uczyniła wielkie spustoszenie: straty nasze są poważne a powiększyły się i w latach powojennych.

Pierwszy wyłom w naszych szeregach uczyniła tragiczna śmierć trzydziestodwuletniego pięknie zapowiadającego się poety — Bronisława Ludwika Michalskiego, który pod wpływem przeżyć osobistych dobrowolnie zginął w nurtach Wisły. W cztery lata potem — pierwsza ofiara wojny: 9 września 1939 roku poległ od bomby nieprzyjacielskiej Józef Czechowicz. Rok 1942: giną młodzi poeci lubelscy: Henryk Domański (rozstrzelany w Palmirach) i Władysław Podstawka (w obozie oświęcimskim). Rok 1943: odchodzi w getcie warszawskim seniorka poezji lubelskiej siedemdziesięcioośmioletnia Franciszka Arnsztajnowa; wiedząc, co ją czeka, otrula się, przed śmiercią przypięszyła do piersi wszystkie swoje odznaczenia. Niewiadomy los spotkał świetnego liryka Stanisława Grędzińskiego: brak o nim jakichkolwiek wieści.

Ponurą liczbę tych strat uzupełniają już po wojnie lekarz-poeta Mieczysław Kossowski (zmarł w r. 1946) i historyk kultury i literatury, znawca sztuki i bibliofil, „proboszcz lubelskiej parafii poetyckiej“ — ks. dr Ludwik Zalewski. Jemu to zawdzięczamy bibliofilskie wydanie „Antologii współczesnych poetów lubelskich“ — dziś białego kruka — która ukazała się bezpośrednio przed wybuchem wojny, a z której zaczerpnęliśmy kilka z zamieszczonych w tym zeszycie wierszy. Wchodził w skład komitetu redakcyjnego odrodzonej „Kameny“ i nie doczekał się ukazania jej pierwszego numeru.

Miejsce tych, co odeszli, zajęli nowi — młodzi i zajmą ci najmłodszy, których utwory zamieszczaliśmy nieraz w poprzednich zeszytach. Wraz ze starszą żyjącą generacją podejmą trud, by nie usychała lubelska gałąź naszej poezji.

K.A.J.

Józef Czechowicz

* * *

Z ulic i zaułków Lublina, rodzinnego miasta nas wszystkich, albo też przynajmniej miasta najbliższego sercu naszemu wysłuchaliśmy nieuchwytnych dla obcego powiewów i przeobrażamy je w słowa i wiersze siłą ożywiająca. Pisząc o sprawach dalekich i trudnych, nucąc o tym, co proste a wzruszające, nie wiemy nic. Poetów cechuje wielka wiedza niewiedzy. Dane nam jest poznanie i możliwości równie ostre, jak zrozumienie, prowadzące się do prawdy, że jak każdy człowiek, tkwimy w dziwności istnienia, a próby rozplątania dziwności nie znaczą nic, bo są tylko życiem wędzidła, dotykaniem prętów kraty, za którą podobało się losowi osadzić nas na ziemi, która jest ciałem niebieskim, pędzącym w zawrotnych przepaściach kosmosu. Uderzeni tym tracimy głowę i załamujemy się w irracjonalną głębię rymów, aby okami tej nieudolnej sieci złowić co nie co. Połów jest trudny. Ciężki jest trud.

Zapomnieliśmy o poetyckich przodkach, którzy czując może to samo, obracali się jednak w łatwiejszych pętach zasad i wierzeń i przesądów. Utrwaleni w różnych przekonaniach wiedzieli przynajmniej, co czarne a co białe. My — nie.

Nas gna wielki niepokój naszego czasu, wahający się między próbami naukowego ujmowania schematu czło-

wieka, dążeniem do znalezienia praw, rządzących żywotami całych narodów i ras, a równocześnie wspierający poczynania możliwych tego świata gustami astrologii. Dyktatorzy wierzą w znaki zodiaku, tłumy nie mają czasu ani myśleć, ani wierzyć, żyją i nie mają bóstwa ponad życie. „Mienią się być mędrcami, a to tylko szal ich ogarnął“ — powiada Pismo Święte. W tym straszliwym zamęcie, w którym jedyną troską społeczeństw jest, czy wojna będzie dziś, czy jutro, w tej epoce nie do opisanego, wieszczonej przez średniowieczne prorocztwa, obliczające koniec świata na rok 1944, gdzież znaleźć grunt pod stopami? Czego mają dotknąć upadający w nawałnicy, by odżyć, by zaczerpnąć siły nowej?

Miasto rodzinne, ilekroć mi ciężko lub najciężej, do Ciebie zwracam się pamięcią, a gdy pamięć twarde przeżycia przypomina — to sercem, to wyobraźnią. Miasto na sklonie pagórka rozłożone, dzwoniące kościołami dzieciństwa, poddające mury odwiecznych budowli słońcu, które tam tyle razy wschodziło to samo, co i gdzie indziej, lecz inne!

Ujmując świat w poetyckie kreacje błędzimy wśród półsłów i półuczuc, wikłamy się w to, co niewypowiedziane i tylko jakieś cienie, jakieś lubelskie zamglone sylwety pomagają uprościć wszystko, sprowadzić znów

do ludzkiego, prawdziwego człowieczeństwa, odwrócić klęski sławy, która brzydną, serca, które pustoszeje. Widzenie miasta — ach, niekoniecznie prawdziwe, niekoniecznie realne — udziela łaski spokoju, odłącza wody od suszy.

Cóż jeszcze zostało? Wiara pomaga wiedzieć, że to, co jest, przemienie i ustąpi miejsca innemu królestwu, lecz jakże dalekiemu. Wiara nie pozwala zwątpić, to prawda, ale serce ludzkie już takie jest chciwe, że mało mu wiary: ono pragnie, by słowo ciałem się stało, by było coś, bcdajby drobnego, jak liść, byle na tym można było postawić stopy i ująć przed zalewem. Ziemia rodzinna stanowi dla nas takie właśnie azylum.

Wsparci o wspomnienie uliczek, fragmenty murów ocienionych starymi drzewami, nawet o linię cienia, kładącego się w przezłocnym powietrzu tamtejszego lata gdzieś na Jezuickiej czy Złotej ulicy, otwieramy dłonie ku światu i znajdujemy w nich przygarście pociechy: jest coś więcej niż okropności, jest coś więcej

niż zmyry, niż duszny opar nowego millenium. Z powiekami opuszczonymi na oczy kołysamy się marzeniem wielkim, od którego serce rośnie i do gardła podchodzi, dławiąc wzruszeniem:

O, gdyby ludzie oddali się w służbę pięknu z takim zapalem, z jakim oddają się pieniądzwowi, uciechom, marnościami! O, gdyby świat cały osypała taka zawieja piękna, jak te groźne śnieżyce dziwności i grozy! O, ludzie, gdybyście się wszyscy dali tak usidlać poezji, sztuce i in ym przejawom piękności, jak dajecie się usidlać wszystkiemu, prócz tego właśnie — radosne byłoby to millenium i skutki takiego przeobrażenia świata byłyby nieobliczalne, a wstrząsnęłyby wszystkim, co jest, mocniej niż wszelkie przeszłe i przyszłe rewolucje...

Jeśli do tego przyczynić się możemy bodaj ziarnkiem piasku, bodaj jednym wierszem w całym życiu naszym, wielka jest nasza nagroda, p. eci!

1939

Franciszka Arnsztajnowa (1865 — 1943)

GŁOS POLEGŁYCH

I

Głęboko, głęboko w ziemi, gdzie kości nasze próchnieją,
słyszemy, gdy przychodzicie z jasných sztandarów rozwieją.
Słyszemy mowy i apel. Przyłóżcie ucho do ziemi,
krwią naszą przesiąkłej młodą, kośćmi zasianej naszymi.
Wsluchajcie się w głos jej ostry jak świst pocisków armatnich,
za nieme usta żołnierskie da odzew na apel bratni.

II

Którzyśmy na śmierć poszli, by Polska zmartwychwstała,
którzyśmy Niepodległą wam spadkiem przekazali,
was, wszystkiego dziedziców, was, żywych, dziś pytamy,
czyście nasz krwią serdeczną napisany testament
już wykonali?
Czy Polska jest już wielka, czy jest już pełna mocy?
Czy jest już taka, jaką widziały nasze oczy,
zanim zgasły na wieki, objawioną na chmurze
dymów pobojuwiska, jak w słońcu i purpurze
w aureoli kroczy?

III

O ziemi, ziemi rodzinna, co tulisz nas miłośnię,
wypuść nas z objęć na chwilę! Chcemy przyjrzeć się wiośnie,
chcemy zobaczyć, jak skiby plóg odwała, jak sieją,
jak się zagony zieloną znowu runią nadzieją.
Chcemy loty podniebne pierwszych jaskótek powitać
i pierwszych bławatków modrość zobaczyć pośród żyta.
O ziemi, ziemi rodzinna, pozwól nam chociaż chwilkę!
Wrócimy zaraz do ciebie, spojrzymy jeszcze tylko,
jak śpieszy miedzami dziatwa płowowłosa i bosa
do szkoły, co z krwi naszej młodej i kości naszych wyrosła.

(„Antologia współczesnych poetów
lubelskich”, 1939)

KSIĘZYC NA MIEŚCIE

Ktoś nie pamięta dnia wśród nocy białej
W błaznym, twardym blasku głowa za firanką.
Z twarzy martwej od pudru duże łzy plakały,
A usta nie ustami były — krwawą ranką.

Ciemny lot nad dachami nietoperz kołysze.
Płowość pustego bruku przepływa w księżycu,
Zakute w gruby fiolet naroża i nische
Czuwają, pośród westchnień, nad bladą ulicą.

Na afiszu pajace żółte i zielone.
Latarnia brnie w zaułek, jak żrenica wąski.
Drzewa noszą się zwolna w tę i tamtą stronę,
A cień, za nimi sunąc, przebiera gałązki.

Gwiazdy nocność rzucają z granatowej głębi,
Pszennicznymi falami księżyc draży chmury.
W śpiącym mieście szalony czarny koń się dębi.
I głowa za firanką, I usta z purpury.

1924

(Druk. w „Nowym Życiu“, Nr 1)

Stanisław Grędziński

SKAZAŃCY

Z krańca ulicy przeraźliwie puste
wychlusła
olbrzymia baszta
mnóstwo okienek nie może
otworzyć
ust
jaż to dziwny klasztor

iluz tęskni w stęchłych suterynach
czemuż Bóg ich za próg wywabił
usta ranią na ostrych strunach
wątle jabłka z różowego jedwabiu

rozdygotani czaili się po ulicach
pomagały im schorowane kochanki
jeżeli to zauważy policjant
natychmiast im nakłada kajdanki

idą za nim
nie narzekają
nie grczą
krzywda nam się mówią nie stanie
bo i tak nic się zdarzyć nie może

podprowadzili nas ostrożnie
po samą basztę

(jeden potknął się strażnik
o próg u bramy)
i w kącie długiej trumny
na końcu korytarza
zostawili nas wreszcie samych

o jak mądre jest prawo miast
o jakże słodkie
kiedy klucze za drzwiami — różaniec gwiazd
swoją zwykłą zadzwonią melodię

w alejach ulic
jest coraz piękniej
tramwaje dają
publiczny koncert
i uśmiechają się śliczne panienki
bo teraz
wszędzie jest słońce

w rogu baszty
ukryty w cieniu
już nikogo nie trzeba się bać mi
o jakżem piękny w moim cierpieniu
ludzie
wszyscyśmy braćmi

(„Parabole“, 1926)

TOPIELCY

Naśpiewajmy oczy kolorami:
seledynem i wilgotną tęczą —
dzień nas żegna tego stawu łzami
i na zachód idzie, bo się zmęczył.

Popłyniemy, rumiana dziewczyno,
popłyniemy bezszelestnym krajem
na spotkanie spiętrzonemu obłokom,
zabłąkanym w wodzie Himalajom.

Może dłonie się skruszą, roztopią,
tak je smaga radość ścigania,
rozbijemy wiosłem na świat okno,
woda chętnie jak wata pochłania.

Po co usta ma dzielić rozłąka?
Ciężar ciała pozostawmy w mule —
polecimy wichurą po łąkach
najczarowniej, najmniej, najczulej...

Usiądziemy pod nocą wełnianą,
jak najcichszym i najlepszym drzewem
i będziemy przez dłonie uspione
swoje serca jedwabne przelewać

w śpiewne rzeki poranków, wieczorów,
w piorunowe, przenikliwie błyski —
zrozumiemy rudą rozpacz boru
w szarej trumnie, u nowej kołyski...

(„Spotkanie z brzozą”, 1936)

Mieczysław Kossowski (1892—1946)

* * *

Chciałem napisać do was wiersz, synkowie drodzy moi,
miała to być odbitka chwili, kiedy się w oczach dwoi

wam, moi chłopcy, z blasku świec, co na choince płoną,
a mnie od wichrów, które skądś z gwiazd czy też z pustki wioną.

Miało być w wierszu wszystko to, co aniołowie wiedzą,
gdy na gałązkach w włosach z szkła przy małych świeczkach siedzą,

co krasnoludki w nocy wam opowiadają złudnie
i co się stanie znów za rok i w wszystkie potem grudnie.

Miało być bajki tyle w tym, ile być tylko może,
gdy pierwsza gwiazdka w niebie tkwi i pionie drzewko boże.

I tak się nieraz w życiu mi przedziwnie plotą losy:
w wierszu zostały tylko te anielskie szklane włosy.

Wina nie moja, ale łez — podobne lzy człowiecze —
które padały cały czas z tych kolorowych świeczek.

Kiedy do siebie mówię, to i czas mój w wieczność leci,
żał mi, że więcej nie mógł już napisać dla was, dzieci.

(„Chłód drogi”, 1937)



WRÓŻENIE

Pokaż mi wodne kła,
na których guseł twych moce
zwołują klasztorne ranny
w komet lodowej zatoce.

Po trzykroć cmentarz przeżegnaj,
nim księżyc jak złoty kur
piórem trzepocąc na chmurze
pozdrowi niebieski chór.

Śladem oddechu śpiących
prowadź, gdzie ziemia niczyja,
gdzie krew zastyga paprociom
i sen nie mija.

Władysław Podstawa (1912 — 1942)

DO MATKI

Do góry, żagle nocy — wypływam na połów
mgieł w trawie zaplątanych — uwiecznych w szuwarach...
— Ty bledniesz? Tak potrzeba — wciąż niżej — ku dołom,
ku wyrwom pełnym śmierci — matko moja stara...

Marzyłaś — syn daleko i wysoko — biały...
— O matko — jakoż wzlecieć, kiedy serce cięży.
Zostanę już do końca w gorzkich dni uprzęży.
Płakały twoje oczy i będą płakały.

Wąwozem iść mi głuchym — ponurym parowem
i śpiewać — wołać pieśnią żelazem zakrzepłą...
— Nie żałuj. Połóż ręce na płonąca głowę. —
Na chłody — zawieruchy — chcę mieć rąk twych ciepło.

(„Antologia współczesnych poetów
lubelskich“, 1939)

Józef Łobodowski

Z „DUMY O ŻOŁNIERZU“

Sprawa trzecia

Nie widziałem tych rąk, co za rulon tęczy rubli
zawiązały mi oczy na zielony, grający świat.
W migotaniu kozackich szabel przez dyszący w ciemności Lublin
prowadzono na łąki bujne. I słono w ustach. I koniec.
Pod wdeptaną w ziemię mogiłą, na odległość siedemnastu lat
zakrwawione wyciągam dłonie.

Przewalały się nade mną wiosny w szeleście brzoź,
mokra jesień dymami ognisk wypacała cierpliwą grudź,
odpływało lato dzwoniące, potrzaskiwał siarczysty mróz.
Wciąż słuchałem, czy już nie przyszli,

czy suchej ziemi nie kopią —
aż wyszły mi serce korzenie, aż przerosłem mogilnym brudem,
zamieniłem się na proch i popiół.

Jakże garstkę zetlałych kości uczcić przed światem.
Ucisza grzmoty trąb laska tambur-majora,
kroczą persony godne, pyszną się słowa skrzydlate —
oto chwala i hołd powszechności
doczesnym szczątkom przydana —
przez ulice prowadzą w gloriach
towarzysza Markowskiego Jana.

A bez pasa i bez kontusza leżał mój trup —
pocięty gęstą salwą wnuk Leonidasa;
nie siadła żadna płaczka u zsiniałych stóp,
nikt z ust mych nie scałował dumy i gorczy —
i sytość, co cmentarną trawą się wypasa,
nie chciała wiedzieć, kto pod ziemią krzyczy.

Niepotrzebne im było męstwo mych ramion,
kiedym na bój i stracenie, młodziutki, szedł; —
dzisiaj ukryli trwogę, wzruszenie klamią,
ku czapkom i kapeluszom unoszą ręce wybladłe —
lecz gdzież jest serce, co pojmie,
czemu u życia met
piersią na kule upadłem?

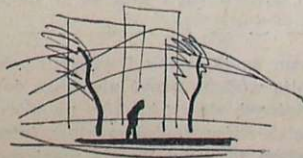
Nadchodzi noc majowa, cała we łzach.
Srebrnieją wonnym akacją szumiące ręce.
Szumią mi krzewy cmentarne. Sosnowy dach
pachnie zieloną żywicą. Ty mnie, o ziemi, wypiąstuj,
ażebym dosyć miał siły, gdy próchno żrenić wykręcę
ku najdroższemu, ku miastu.

Wstanę upiorem z mogiły i pójdę w gniewie
kosmate cienie z ulic wypłaszać.
Wicher mych myśli nie pojał. Księżyc spogląda i nie wie.
Zanim się jasne świtanie z mroku wywinie, —
w sadach pachnących, w izbach, na ciasnych poddaszach. —
uśnij, czerwony Lublinie.

Chór

Stoją krzyże mogilne, nad ludzkim prochem schylone,
proszy na biedne pagórki dziewicza białość akacyj —
rodzą się myśli żałobne i umierają jak ptacy,
które po drodze burza zgarnęła czarnym welonem.
Co dzień wstajemy do czynu i w silnych skrzydłał szeleście
obumieramy na nowo, smutni dziedzice popiołu,
a noc zagląda nam w oczy i ramion straszliwych ołów
kładzie na skronie wyschnięte:
— Kto wy i po co jesteście...

(„Demonom nocy“, 1936)



EWOKACJA

Bardzo jest trudno wywołać z ciemności jakiegoś ducha.
 Nie zawsze dobrze się złoży, czasami nie chce usłuchać.
 Wiele jest rzeczy potrzebnych, magicznych instrumentów.
 Należy się przygotować, uczcić właściwe święto.
 Lecz najtrudniej jest o słowo. Jeśli się ono objawi,
 świat w biegu można zatrzymać, zrównać się z Bogiem prawie.
 Długo w poźółkłych książkach dociekasz tej tajemnicy,
 wnikaś w bezmiary przestrzeni, chwytasz na wędkę księżycę
 i wreszcie czujesz zakłęcie twórcze, jak soki w drzewie
 i myślisz, że już wiesz wszystko, a teraz dopiero nic nie wiesz.

Już miesiąc nie palę tytoniu i miesiąc nie jem mięsa,
 patrzę w otwarte słońce, czuwam i nie drgnie mi ręsa.
 Po nocach długo nie śpię, powtarzam słowa bez związku,
 ciemne znaki na ścianach kreślę jodłową gałązką,
 cofam się wstecz myślami aż poza chwilę urodzin,
 nie widzę własnego ciała, nie słyszę bijących godzin.
 Jestem już cały wpleciony w liczby, litery, trójkąty,
 znaki, ptaki, zodiaki. Przeżywam sen tysiąc piąty.
 Nawiedza mnie dziwna mądrość, ręka astrali dotyka
 i wtedy ono się zjawia, a potem na zawsze znika...

Dzisiaj wreszcie ukończyłem posępne rekolekcje
 i czuję, że tej nocy stanie się, co ja zechcę.
 Magiczne paentagramy na ścianach rozmieściłem
 i ustawiłem ołtarz do gwiazd zwrócony tyłem.
 Na węgle nasypałem trujących ziół odwaru.
 Rozpostarłem zasłony magiczne pełne czarów.
 Rozgniotłem w suchych ustach mięszs zakazanych owoców
 i wszystkie moce tej nocy wezwałem do pomocy.

Oczy przesłania mgła. I przeszła chwila długa.
 I najpierw zobaczyłem śnieżystą pierś succuby.
 Gorące maki ust i włosów wonne welony.
 A potem słyż widziadła na mnie już z każdej strony:
 twarzy umarłych dym, dłoni proszących smugi,
 gejzery i wulkany, wichury i szarugi,
 oczu przepastne dna, profile głów niezwykle
 i wreszcie przyszedł On i wszystko inne znikło.

Widzę: noc płachtą skryła wyspy dalekiej skały,
 gęste, lepkie ciemności dokoła się rozlały.
 Sen zamarł. Przestrzeń spała. Widziadła, larwy, strachy
 i blade światło plonęło pod jednym tylko dachem.
 A stamtąd w bezmiar przestrzeni, gwiazd rozwichrzoną zawieję
 plonęły rzędem pochodnie i w niebo tworzyły aleje.
 Wtedy skostniały w bezruchu, w światła czerwonych jarzeniu
 zacząłem głośno go wołać trzykrotnie po imieniu.
 A On wyciągnął dłonie, w noc utkwiał oczy zielone,
 zaczął stąpać powietrzem i kroczyć w moją stronę...

W ustach mam gorzki smak i wargi popękane.
 Codziennie pije wódkę, zasnąć nie mogę do rana.
 Lękam się głośnych słów i kroków na ulicy.
 Straciłem wątek snów, zgubiłem klucz tajemnicy.
 Powtarzam stare formuły. Rysuję magiczne pieczęcie.
 Palę zioła, kryształy. Krzyczę upiorne zaklęcia.

A strach obłądną ręką dotyka mojej twarzy,
spojrzenie oczu zabija, dotknięcie dłoni parzy...
Czekam przejęty lękiem, aż wyrwę się z ciała powłoki —
ulicą pochodni przyjdzie zabrać mnie z sobą w obłoki.

(„Antologia współczesnych poetów
lubelskich“, 1939)

Wacław Gralewski

LEGENDA

Na niebieskim afiszu nieba
literami gwiazd
napisane było: PRZEZNACZENIE.

Mały chłopiec,
zwykły roznosiciel gazet,
(oczy jego — jak zielona wiosna grochu)
biegnąc,
liczył brukowe kamienie
i słodkich myśli oblizywał krem.

Snuł marsz żołnierskich dni.

Został Ministrem.

Szedł samotny
— uderzając bambusem laski
w czarną porcelanę asfaltu —
kurytarzami ulic

po wzdętej piersi bulwaru,
po ryżej sierści trawników.

Zobaczył
kawalek zmiętej gazety.
Podniósł,
coś sobie przypomniał,
zagwizdał,
pobiegł.
Tylko biedna staruszka
widziała,
potem opowiadała
o cwałującym na chmurach księżycu,
o kometach płasko spadających,
o końcu świata
i o wielkiej, wielkiej wojnie.

(„Antologia współczesnych poetów
lubelskich“, 1939)

Antoni Madej

MUZY

Spójrz na Muzy,
niby rumaki splełane piją wodę
u strugi szerokiej,
gdzie skrzypce trzciny
cieniutko ciągną melodię.

A tu
w grudzie ziemi
dźwięczne tętno
o n a j w y ż s z y m.

Wygląda tak,
jakby niczego żałować nie trzeba:
ani pobitych miast,
ani spalonych lasów,
ani strатовanych ogrodów,
ni róż.
Falom nie trzeba uragać,
gdy pełnią swą powinność
i miazdzą przestrzeń.

Wygląda tak,
jakby pachnące szczęście stało w ruinach,
wybuchem granatowych zmierzchów
świetlisty rozpinając łuk
nad nami.

Któregoś dnia weź Muzy —
rumaki splełane —
za uzdę przyprowadź pod stok
najwyższy, jakiś znaleźć mógł,
i jedź.

Więc,
wichrem, a może chmurą
w górę!

Proch gwiazd sypie się błyskawicą —
— sygnaturki światów kosmicznych —
księżyc —
czerwony kogut
zapieje.

A wtedy może ulicą
w nieskończonej zawiei
maszerujących batalionów
przebiegnie skrzętem piorunowym
słowo.

To zważ:
będzie to chyba ten głos,
którego czekamy
z gardłem zasznurowanym,

z niemowlęctwa szlochem,
pół przytomni.

I
Muzy zapędź, jak klacze ogniste,
pod najgęstszy grad ołowiu
i świst
i salwę —
jeśli nie zginiesz,
skroń opleciesz laurem!

(„W grudzie ziemi“, 1934)

Tadeusz Bocheński

KONTEMPLACJA

Z wody bystrej, białozielonawej,
a jak zdrowie i jak brzytwa gładkiej
co wyjrzało? Nie młodość, nie wiosna,
lecz mądrzejsza nad rozumy wieczność.
Chłód spoisty, tęgi od wieczności
bije. Ograniczył i tak sobie
wnet człowieka przyswoił, jak puszcza
nowozłęgłe przyswaja wiewiórki.

Eugeniusz Gołębiowski

O BROŃ I ORŁY NARODOWE...

— Hej! dokąd sardyński ten toczy się furgon,
Dlaczego, chłopcy, rzucacie swe włóści?

— My śmierć wieziemy do Wiednia Habsburgom,
A ludziom bochen sardyńskiej wolności.
Założ na bakier czapkę frygijską
I z nami jedź, bracie, na ludów igrzysko!
Nim jabłoń sardyńska kwiecie swe zrzuci,
Ujrzysz — jak ręką tysiączną tłumu
Pisać się będzie tekst konstytucji
Na białych schodach Schönbrunnu.
Tę wicsną naszej wolności i siły
Wiedzmy sardyńskie od dawna wróżyły.
Pójdziemy jak w taniec przy kastanietach,
A z nami — jak brat — ów polski poeta.

I myśli rodem z nowogródzkiej strony
Zwarte w rymy, strofy, bataliony
Szturmować szły Europy ulice
I krwawić na carsko-cesarskich bagnietach.
Takt im wybijał o okiennice
Starym cybuchem wygnaniec poeta
I w żółkłych zębach żuł cierpkie błaganie:
O broń i orły narodowe błagamy Cię, Panie!

(Z wydawnictwa jubileuszowego „Rok 1948 —
literaci lubelscy w stulecie Wiosny Ludów“, 1948)

Bogdan Żyranik
MĘŻE I PŁACZKI

Surùn! —
Zbrój groźny szczęk!
Już w górach krew.
Już w górach jęk.
Surùn! Surùn! —
Nadciąga krwawy Timur-Lenk.

Surùn! —
Łańcuchów szczęk!
Doliny drżą.
W dolinach jęk.
Surùn! Surùn! —
Nadciągnął krwawy Timur-Lenk.

Surùn! Surùn!
Surùn! Surùn!
Groza... Wytraca wszystko wraz!...
Błady strach więzi gród i wieś.
Wśród gajów rzeź... Rzeź w sercach miast...
Dreszcz... obłęd... rzeź.

Surùn! —
Wszechwładny lęk...
Krew... jęk...
Ogluchnął dziś
Klasztorny dzwon.
Surùn! —

Zagładzie — plon.
Książętom i pasterzom — zgon.
Surùn! Surùn!
On — Timur-Lenk...

W klasztorach jęki, rozbluzg krwi!
Kto żyje — klnie narodzin dzień...
Kto widzi — bodaj oślepi dziś!
Kto słyszy — bodaj zgłuch! jak pień!
Surùn! —

Oślepnem! — oślepiemy wraz
Słońce, jarzące oko dnia,
I wszystek w czerń spowiniem świat
Do ostatniego istnień pnia!
Surùn! Surùn! —

Orkanie, ruń! Zatapiaj szpony
W tej ziemi stratowanym licu!
Chaosie, świeć się tu, szalony,
Świeć się tu, śmierci tajemnico!

Co za przedziwny groźny lud
Surowych lic, wyniosłych czół.

Czy to nie Archaniołów chór
Na Ostateczny wzywa Sąd?

Nie archaniołów chór, lecz płaczek,
Co sąd przenosi w niebios bramy,
Gdy my na ziemi umieramy.

Pasterzom — zgon!

Książętom... schron.

My odpowiemy na rozpaczę! —
Powstanie wolny Hajastán!
Powstanie lud w obronie ziemi,
Z szponów najeźdźcy — i z książęcych
Dławiony wydrze kraj
I nigdy go nie odda więcej!
Powstanie wolny Hajastán!
Ojczyzny jeszcze dzień nie zaszedł.
Powstanie lud w obronie ziemi!
Dość białych pustych. Jutro — nasze!
Choć dziś krwawimy i giniemy.
Nie trwożym się męczeńskich ran,
W nas — wschodzi wolność — pozna wróg...
Wyszarpiem kraj z szaleństwa trwóg.
Powstanie wolny Hajastán!

Helena Platta

DO SIOSTRY Z DEBRECZYNA

Jolanto
w zmierzchu listopada
dokąd zmierzasz?
Strzaskana
neonowa lampa
ból, jak ranę, poszerza.
W szkle, krwawiąca, brodzisz.
Cięciami rakiet éwiartowane niebo,
— miesiąc rdzawy.
Na bruku — liść pod czolgiem —
krawędź...

Jan Szczawiej

DEDYKACJA

Widziałem ciemnych maków ogień pośród żyta
I kopy siana nocą w mgłę zapadające
I świt widziałem ranny i jak z nim rozkwita
Od słońca zapłoniony krzak róży na grzędce.
Widziałem jeszcze rzekę, która cicho płynie
Za kępą młodych sosen obok wsi rodzinnej
I jeszcze jak chłop orze przy białej olszynie
I jak wypłoszył z krzaków parę kaczek zwinną.
W zasiękach zdrowe ziarno owsa i jęczmienia
I porzeczek dojrzałe pod śpichlerzem grona
I widziałem jak chłopiec pieszczoły wymienia
Z dziewczyną pod jabłoni i nocy osłoną,
Wiele, wiele widziałem, wsie w czeremchach całe
I miasta, i jeziora, i kosmate iwy,
Lecz szczęścia do tej pory nigdzie nie spotkałem,
Dzisiaj dopiero kocham i jestem szczęśliwy.

(„Galąź czeremchy“, 1932)

Wacław Mrozowski

KOŁYSANKA

Do wsi cwałem — polem — ulani —
połem dzwonią, hej, kąkołem w cwał,
malowani, hej, ulani malowani —
dzwoni kopyt tętent, dzwoni, dźwięczy...

Gdzie jedziecie, dokąd, malowani?
jakim siółem was wicher gnał,
że tak cwałem, polem, cwałem w cwał?
gdzie się kończą za wsią łuki tęczy,
kopytami malowanych, karych koni,
hej, ulani, cwałem, polem, siółem,
dzwonią, tętnią, dołem, górą, dołem.

Za wsią cwałem, malowani ulani,
w tęczę wicher galop ten zwiął —
dokąd? dokąd? dokąd, malowani
połem cwałem i kąkołem w cwał?

Kopytami, chmurą, polem, górą,
gdzie skowronek podniebny dzwoni,
stańli pośrodku tęczy
i poją bulane konie.



BURZA

Zafalowało niebo: atramentowe morze,
toczą się głucho balwany chmur,
ostrzy ząb burzy niebo rozpruł
błyskawicowym nożem!

U góry wiatr, smagany biczem błyskawicy,
w czarne zagony orze przestwór tajemniczy;
na dole cisza. Lip stłoczone stado
możli się trwożnie o łaskę ulewy,
trawy omdlałe ra ziemi się kładą,
a żyto, które pachnie ostrym chleba kwasem,
wysuwa ponad ziarna suche listki plewy,
jak wargi spragnione wody...

Pod lasem
wśród ciszy, jak jastrząb w gołębiu,
ostrym dziobem pioruna śmierć utkwiała w dębie!

(„Fale mojej rzeki“, 1933)

Zdzisław Popowski

POŁUDNIE

Kołys wiatru na murze różowym,
w złotej sieci słoneczny ptak.
Chmury wsparte o lasu poręcz,
las przepływa horyzont wplaw.

Na wybrzeżu potłuczone lustra,
w sienie wodzie promienisty miecz,
a w sitowiu ryby myją łuski,
kryształowe ryby w szarym dniu.

W rzece płuczą dziewczyny kolana,
dwie łodygi opalonych ud.
Białą pianą, zieloną pianą,
spływa ciałem lustrzany chłód.

Kwilą ptaki kroplistym wyznaniem
pełne dźwięków: okrągłych nut.
Szlakiem wonnym przechodzi anioł,
chłodząc różdżką roślinny plód.

W wodzie milczą słoneczne organy,
organami szeleści las.
Kryształowe nad lasem dzbany
melodyjny unoszą blask.

Las się w dzbanach myje zielenią,
chrzęszczą w cieniu akordy pni.
Nad rozlaną jak rzeka ziemią
niesie wiosna złote tarcze dni.

(„Pieśni uroczyste“, 1936)

Zygmunt Mikulski

* * *

Prawda, stęskniłem do banału.
Jesień, czy wiosna? Ogród kwitnie.
Popadłem w niedorzeczny nałóg,
bo milczę dźwięcznie w skocznym rytmie.

Codziennie zmierzch wieczorny witam
nie tęskny, drzewny, nie uparty.
Bo księżyc. Sam. Jak eremita.
Bo zapach. Długi i rozparty.

Więc chyba o tym. Nie, to gałąź,
to włos, to smyczek, to melodia.
Przedłużać opis mam tak samo
ja: oczekuję ciebie co dnia?

Już bym rozpoczął. W sennym szumie
zgasł niesłyszczanym przemilczeniem.
Bo wiem, że ujrzę. Nie zrozumieć.
Że smyczkiem będę. I że cieniem.

Ze słów kilkoro jeszcze powiem,
że włożę w wodę liść konwalii
(że może jeszcze będę człowiek —
gdyty się kiedyś zapytali...)

Księżyc już cięższy. Cierpki owoc.
Na piórze jeszcze mam atrament.
Więc księżyc znowu i noc znowu.
I słowa inne. I te same.

Stefan Wolski

MELDUNEK PARTYZANTA

Kamienicom w pół zgiętym pod ciężarem męki,
lasom ostatni oddech oddającym za was,
wioskom umierającym w okrażeniu potrzasku,
tam gdzie się zaczyna płonąca Warszawa,
klęcząc pokornie na wiślanym piasku,
poświęcam ten chłód stali i spokojnej ręki;
zabiłem.

Kim jestem strzelający w Alejach, na Kruczej
w serce zielonej zgrai z trupim godłem w dłoni,
albo z miną wysłany na most, jak na włócznie,
sam w obliczu zadania i w ogniu pogoni?...
Zabiłem.

Nie dlatego, bym pragnął krwi świeżej,
ani po to, by w śmierci szukać widma świata,
lecz dlatego, by ziemia odetchnęła szerzej
bez kata.

Oto przyjdą godziny na upartych nogach
aż spod murów strzaskanych Cassino... Lenino,
najwierniejszy cień wroga —
i jak powódź przepłyną
czerwieniami i bielą śpiewające mu dzwonnice do zgonu.
Lecz nim przejdą tą ziemią straszną, okrwawioną,
łachmanami wiejącą pożogi,
poszukam jeszcze twarzy zbielełej od trwogi,
wykrzywionej błaganiami o łaskę,
i tę butną, brunatną, najeżdżącą zarazę
w młotach gniewu przekuję na miazgę:
ukarzę.

Nie trzeba mi imienia — który-m welon nocy
purpurą granatów rozciął,
który-m z Szucha pozrywał pierzyny i koce,
jak kary wstająca godzina.

Zabiłem.

Maria Szczepowska

CHORAĞIEW

Na dziobie czarnej fregaty w zachodów mosłądu stałem
a wiatr mną, jak burą opończę, szamotał.
Gasty przede mną zorze i gwiazdy wstawały,
rejsem mi była tęsknota.

W żaglach, jak muszle wydętych, wiatr płakał i reją chwiał.
Maszty ojczystych sosen stały nade mną,
a z głębin morza wynurzał się szkwał
i ciemność, ciemność, ciemność.

— Ojczyzno — myślałem — czy wróćę do twoich chmurnych stron,
gdzie chciałbym kości swe złożyć i głowę siwą.
Smutek do nóg mi się lasił. Daleki był ład
i długo płynąłem.

Załoga rzuciła w morze swój zwykły, wieczorny śpiew.
Nie gwiazda. To myśl błysnęła: nie zdążę.
Widziałem: w szyderczych bałwanach podniosła śmierć
swoją piracką chorągiew.

Marek Adam Jaworski

* * *

Leszkowi Siemionowi

Bolesne słowa: racja stanu —
nie mogą serca nagle zmrozić.
Uczucie gniewnym oceanem
zabiega drogę rozumowi.

Natenczas dłoni nie powstrzymasz,
sama się twardo w pięść zatoczy,
a twarz wykrzywi bólu grymas
i może lzy zasłonią oczy.

Wiele już prawd runęło z traskiem
i wiele jeszcze przyjdzie zmienić.
Jak tu odnaleźć słowa własne,
strzegąc ich później niestrudzenie?

I jak uchronić, powiedz wreszcie,
idee moje, twoje, nasze,
jeśli pożarów w Budapeszcie
chyba już nigdy nie ugaszę...

*

Myśli — raz z kajdan uwolniczne —
nie dadzą się powtórnie złowić,
lecz pełnym blaskiem będą płonąć
wracając godność człowiekowi.

Stefan Zarębski

* * *

Po to, by w manii żarliwej pozbierać
jak znaczki pocztowe —
wszystkie dni —
i szukaniem wciąż nowych —
żyć...

Ażeby — wieczny polemisto! —
na marginesach kart bożych
tryumfem hardym,
dumnie —
veto swe,
myśl swą —
tworzyć...

By w radości codziennej
nagłą trwogą
umrzeć...

BY RADY DAŁY RADĘ...

Po gorących dniach października dość szybko zaczął krzewić się pogląd, że właściwie nie warto już rozwałkowywać „błędów“, nastąpiła bowiem pora zakasania rękawów do porządnej roboty. Ten pogląd, mający pozory szlachetnej powagi, pochodził przeważnie od ludzi osobiście zainteresowanych w generalnej amnestii. Wtórowały im głosy pięknoduchów upajających się swoją wspaniałomyślnością. Tymczasem trzeba chyba stać się ponownie schematystą, by ulegać złudzeniu, jakoby można było dokonać wielkiej naprawy bez uprzytomnienia sobie szkody w całej jej rozciągłości. Nie dziwnym się tedy, że obrady działaczy kulturalnych zwołanych ostatnio na Zamek lubelski przez Wydział Kultury PWRN wytoczyły się poza granice dezyderatów, nawracając raz po raz do sygnalizowania „błędów“ i „wypaczeń“. A gdyby organizatorzy konferencji nie zasugerowali sali przedwczesnego podziału na sekcje wiejską i miejską, szersza wymiana informacji dałaby niewątpliwie wszystkim uczestnikom naprawdę bogaty materiał do przemyślenia.

Któż by dzisiaj negował potrzebę porad ludzi, którym sprawy kultury leżą na sercu? Trochę budzi natomiast arytmia organizacyjna, jaka towarzyszy odgórnemu przygotowywaniu społeczeństwa do oddolnej inicjatywy w warunkach przyszłej decentralizacji. Oto właśnie fakt. W dniu 15 listopada trafiłam na poradę działaczy kulturalnych, która się odbywała również na Zamku, w tej samej sali, co narada grudniowa. Zastanawiano się już wówczas nad tym, jak ratować upadły ruch kulturalny w „masach“. Upłynął odąd miesiąc — miesiąc w okresie rewolucji to bardzo, bardzo dużo — i cóż? W dniu 15 grudnia usłyszałam na tym samym miejscu identyczne wskazania, identyczne niemile stwierdzenia — bynajmniej nie w czasie pozaprzestłym. Stąd dwa wnioski: primo, że nie zorganizowano pierwszej narady w tak szerokim gronie, by stało się zbędne dublowanie jej przez naradę drugą, secundo, że nie wyszliśmy jeszcze ze stadium oczekiwania centralnych zarządzeń „odnośnie“ decentralizacji.

Leć mówimy już tylko o naradzie grudniowej, skoro zrobiła większą karierę niż listopadowa — chyba nie bez wpływu sensacyjnego miana „sejmiku kultury“, które lansowano przed jej rozpoczęciem.

Niestety! Teraz dopiero dają się poznać fatalne skutki okresu ubezwłasnowolnienia społeczeństwa. Obrady na Zamku, nie zawsze rzeczowe w swej części krytycznej, stały się po prostu żałośnie chaotyczne, gdy doszło do postulatycznej. Mówcy długo mozolili się nieporadnie nad „sformułowaniami“, zanim wyjaśniono im, że zebranie owo nie jest sejmikiem, jeno zgromadzeniem ludzi dobrej woli uprawnionym do zgłaszania dezyderatów. Gdyby to zbawienne określenie kompetencji władz administracyjnych a inicjatywy społecznej nastąpiło wcześniej, zaoszczędzono by sporo nieproduktywnych wysiłków.

Nie będzie jednak bynajmniej lakiernictwem, jeśli powiem, że mimo wszystko było w tych mowach na Zamku coś napawającego otuchą. Mam na myśli wyraźnie dostrzegalne umiłowanie kultury i pełną żarliwości chęć służenia jej sprawie. Występowało to najdobitniej w wypowiedziach działaczy terenowych. Nie brakowało wśród nich instruktorów ruchu amatorskiego kompetentnych w metodach upowszechnienia kultury. Zapewne wydelegowano w większości najlepszych, ale czyż nie wiemy, jak szeroki może być nieraz zasięg oddziaływania jednostki mającej kult dla dobra sprawy?

Kulturę niszczą i kulturę tworzą różne gatunki ludzi, dlatego też za rzecz najważniejszą w danym momencie uważam rozpoznanie „kto jest kim“. Kluczową uchwałą omawianego „sejmiku“ (niech mu będzie!) jest niewątpliwie postulat, który brzmi:

1. Wyłonić wojewódzką radę kultury dla prezydium WRN w Lublinie, miejskie rady kultury dla prezydium powiatowych rad narodowych, jako ciała doradcze, opiniodawcze i koordynujące problemy miast i wsi.
2. W skład rad kultury winni wchodzić wyłącznie wybitni działacze kultury, przedstawiciele placówek kulturalnych, stowarzyszeń twórczych z uwzględnieniem kół młodych artystów i literatów, wybrani w wolnych wyborach przez poszczególne pionierzy kulturalne, przy czym liczba członków poszczególnych rad kultury winna odpowiadać liczbie pionierzy kultury.
3. Termin powstania miejskich i powiatowych rad kultury ustala się najpóźniej do dnia 15 stycznia 1957 roku, wojewódzkiej rady kultury do dnia 30.I.57 r.
4. Zebrani postanawiają zwrócić się do Prezydium Rządu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki o powołanie wojewódzkich, powiatowych, miejskich i gromadzkich komitetów do spraw kultury, jako instytucji społecznych, wybieranych na zasadach wymienionych w punkcie 2 ni-

niejszej uchwały, a kierujących życiem kulturalnym miast i wsi oraz kontrolujących działalność wydziałów kultury, będących wówczas organami wykonawczymi podjętych przez komitety kultury uchwał i wniosków.

Trzeba więc przystąpić niezwłocznie do rzetelnego odsiewu, oddzielając ludzi pracujących uczciwie dla kultury od tych, którzy o niej gadają, trzeba ustalić, kto potrafi pracować dobrze we właściwych warunkach, a kto pozostałby nadal wścibskim dzierżymordą, specem od pięknych oracji i roboty papierkowej.

Nie bez kozery przydałam już na wstępie cudzysłów do terminów obiegowych „błędy“, „wypaczenia“. Są to mało znaczące eufemizmy, które nas rozbrajają w stosunku do skondensowanej w nich destrukcyjnej treści. Błąd — to brzmi niewinnie, niejako po sztubacku. Kilkanaście błędów w zeszytach — trochę czerwonego atramentu i dwójka czy pała z wypracowania. Ale „błąd“ w skali społecznej, o przepraszam, to już pachnie częstokroć nie atramentem, lecz krwią. Ludzkość płaci przez całe wieki cenę krwi za „błędy“ rządców wielkiego i małego kalibru. Tak było przy reformach odgórnych. Dzisiaj więc, kiedy rzucono hasło decentralizacji, przestańmy czym prędzej „uczyć się na błędach“, jest to nauka zbyt kosztowna. Stanowczo głosuj przeciwko amnestii w dziedzinie kultury. Powiedzmy sobie otwarcie, że obok znanych dobrze nam wszystkim kardynalnych przyczyn poniesionej szkody, przyczyn od nas niezależnych, jednym z najtwardszych hamulców w procesie przenikania kultury w głąb społeczeństwa był bardzo tandetny stosunek do swoich zadań, charakteryzujący wielu naszych działaczy społecznych, aktywistów i urzędników od kultury. Nie mniej zgubnym zjawiskiem jest potworne rozprzestrzenienie się kumoterstwa, w jego najgroźniejszej odmianie — braterstwie bruderszaftowym. Stało się już publiczną tajemnicą, że tak zwana akcja k.-o. była często „okazją do pomocy swoim ludziom“, jak wyraził się jeden z instruktorów ruchu amatorskiego. Muszę się przyznać, że nie wierzę, by kultura zaczęła się upowszechniać na dobre, jeżeli do nowych rad kultury wślizną się posiedzielnarze, do których nie wiedzieć kiedy przyłgnęła reputacja aktywistów z racji tylko ich gadulstwa. Rady powinny składać się z rzeczoznawców, ludzi, którzy tworzą kulturę lub pomagają ją tworzyć, nie zastępując opieki cenzurą. Niech więc ci, co będą wybierać członków przyszłych rad kultury, nie przyjmują utartych nazwisk przez aklamację, ale dobrze zważą w sobie każdą kandydaturę. Wybór musi być bezbłędny, bo im więcej wybiorą tandeciarzy, tym bardziej tandetne będą nasze akcje kulturalne.

Z podstawowym zagadnieniem rad łączy się ściśle postulat wciągnięcia do pracy nad odnową życia kulturalnego miast i wsi niesłusznie odsuniętych w ciągu ostatnich lat zasłużonych działaczy kultury, a także konieczność zapewnienia dopływu młodych kadr.

Niezwłoczna, konsekwentna realizacja naczelnego zadania chwili obecnej: powołania rad kultury we właściwym składzie — będzie niezawodną gwarancją wprowadzenia w życie innych słusznych dezyderatów grudniowej narady na Zamku.

Chcę dodać na zakończenie, że my, ludzie pióra, pragnący rozwoju wolnego słowa, przywiązujemy specjalną wagę do utrzymania nowego dwutygodnika „Pod wiatr“, organu studentów i młodej inteligencji. Niechajże mają możliwość walczyć z młodym zapalem o naprawę, do jakiej dążą szczerze wszyscy uczciwi ludzie.

Maria Bechczyz-Rudnicka

Franciszek Osiak

KRZYWDZĄCE ZAPOMNIENIE

W związku z tym, że zarówno w prasie, jak i na ostatnich naradach działaczy kulturalnych Lubelszczyzny, wspominało się i wspomina o działalności „Wici“, sądzimy, że niniejszy artykuł zainteresuje czytelników „Kamieny“. (Red.)

Ocalmy od zapomnienia historię poczynań organizacyjnych młodzieży wiejskiej, przedstawmy nowemu pokoleniu nieskażony obraz jej dorobku ideowego, jej marzeń, upadków i wznosów — oto głosy, jakie dają się słyszeć w Polsce powszechnie po przełomie październikowym. I słusznie: Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici“, który nie był jedyną ani nawet najliczniejszą organizacją działającą wśród młodych na wsi,

który nie cieszył się uznaniem przedwojennych dygnitarzy i nie dysponował nieograniczonymi zasilkami z kas państwowych, stał się jednak w swoim czasie motorem walki postepowego chłopstwa o wyzwolenie wsi polskiej z wiekowego ucisku i zaniedbania.

Początków ruchu wiciowego należy szukać w pierwszych latach XX wieku. Przy piśmie „Młodzi idą“, dodatku do tygodnika „Zaranie“, skupiła się garść

młodzieży wiejskiej. Powstał pierwszy zespół pisarzy ludowych — współpracowników pisma, z wybitnym poetą Kajetanem Sawczukiem i Ireną Kosmowską na czele. Doniosłą rolę w dziele budzenia świadomości wsi spełnił również dwutygodnik „Drużyna“, założony w r. 1912. Jego redaktorem został znany działacz ludowy, miłośnik folkloru i piewca Kurpiowszczyzny — Adam Chętnik. Wokół „Drużyny“ grupowali się absolwenci pierwszych ludowych szkół rolniczych — Pszczelina, Kruszynka i Krasienina. Zasięg pisma był dość znaczny, pod jego wpływem w niejednym chłopcu, w niejednej dziewczynie wiejskiej budzić się zaczęła wola walki z ciemnotą i zacofaniem. Zaczęły się tworzyć pierwsze w historii wsi kadry działaczy społecznych rekrutujące się nie z innych, jak dotąd, klas społecznych, ale z samej warstwy chłopskiej.

Po odzyskaniu niepodległości na przeorany już częściowo gruncie zaczynają powstawać na wsi, głównie na terenie b. Kongresówki, koła młodzieży jako organizacje o charakterze wychowawczym i kulturalno-oświatowym. Za pośrednictwem powiatowych i wojewódzkich związków łączą się one w Centralnym Związku Młodzieży Wiejskiej w Warszawie, stanowiącym sekcję Centralnego Związku Kółek Rolniczych, popularnie zwanym C.Z.K.R. Organem kół i ich związku stał się tygodnik „Siew“, redagowany przez Bolesława Babskiego, pochodzącego ze wsi Sobótka (województwo kieleckie). Przez kilka lat stosunki między Centralnym Związkiem Młodzieży Wiejskiej a C.Z.K.R. układały się pomyślnie. Młodzi cieszyli się pełnią samodzielności. Wspólne lokale central związków wojewódzkich i powiatowych, jak również pomoc instruktorów rolniczych przy zakładaniu kół młodzieży i organizowaniu różnorodnych kursów, dawały dobre wyniki, życie społeczne na wsi zaczęło płynąć dość wartkim nurtem.

Tymczasem w życiu politycznym kraju nastąpiły głębokie przeobrażenia. Rok 1926 przyniósł przewrót majowy. Dyktatura sanacyjna zaczęła opanowywać wszystkie dziedzin życia społecznego. Pod jej przemożnym wpływem znalazł się wkrótce Centralny Związek Kółek Rolniczych. Macki sanacji wyciągały się również w kierunku ruchu młodzieży wiejskiej. Jesie ią 1927 r. redakcja „Siewu“ dostała sanacyjnego cenzora, który miał ukształtować nowe oblicze pisma. Samodzielność Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej stała się fikcją. Przy „Siewie“ i przy zarządzie mianowanym przez sanacyjną władzę C.Z.K.R. pozostały elementy karierowiczowskie i koła martwe, nie wykazujące żywszej działalności.

W szeregach młodzieży narastał bunt. Na gwałt zadany organizacji kierownicy ruchu odpowiedzialni czynem. Po wielu bezowocnych próbach zrzućcia jarzma postanowiono pójść własną drogą i powołać do życia nową centralę. Na nic się nie zdało „zawieszenie“ zarządu związku młodzieży przez władzę C.Z.K.R. Nie pomogło usunięcie najbardziej opornych pracowników redakcji i sekretariatu. Do kół terenowych poszły szybko zawiadomienia o zamachu na samodzielność ruchu młodej wsi. Odzew nastąpił bezwzględnie. Postawa olbrzymiej większości zorganizowanej młodzieży nie budziła najmniejszej wątpliwości. Niecierpliwie czekali na dalsze odgłosy zmagania. Pod

adresem „buntowników“ płynęły zewsząd słowa porażenia.

W dniu 28 marca 1928 r. ukazał się pierwszy numer niezależnego pisma, do zagród i opiótków wiejskich poszły „Wici“. Takim bowiem słowiańskim zawołaniem nazwano nowy organ młodzieży wiejskiej. Redakcję tygodnika objął Józef Niećko, współpracownik przedwojennej „Drużyny“ i dotychczasowy kierownik biura Centrali. Artykuł wstępny „Idą Wici“ napisał najświetlejszy i najdostojniejszy chłop, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem, wielki wychowawca młodego pokolenia, kierownik Uniwersytetu Ludowego w Szczech — Ignacy Solarz. Każde napisane przez niego słowo niesło ładunek buntu, miało w sobie coś z zapachu świeżo zoranej skiby, coś z poszumu drzew w borze i szczyku kos spod Raclawic, padało w dusze i serca młodych chłopców i dziewcząt i budziło pragnienie czynu. Między grupą synów chłopskich — studentów różnych uczelni warszawskich, stanowiących trzon działaczy Centrali, a szarymi szeregami młodzieży wiejskiej wytworzyła się jedność myśli i działania. Członkowie władz związku, koła i poszczególni działacze składali się na pokrycie wydatków organizacyjnych i na koszty druku gazety, nikt nie myślał o honorariach, pensjach, subsydiach i zasiłkach. Co tydzień szły za to w świat świeże numery „Wici“. Przyjmowano je na wsiach serdecznie jak przyjaciela, czytano jak książkę do nabożeństwa. Na ich treść składały się listy nadsyłane przez młodych związkowców, głębokie rozważania Zygmunta Załęskiego, nastrojowe wypowiedzi Niećki, jędre i cięte jak uderzenia biczem artykuły Bolka Babskiego. W miarę jak „Wici“ krzepły, liczba współpracowników wzrastała, teki zaś redakcyjne zaczęły pęcznieć.

W atmosferze entuzjazmu i wzmoczonego wysiłku organizacyjnego czyniono przygotowania do walnego zjazdu. Krótko i jasno sformułowano swoje ideowe i organizacyjne postulaty:

1) Chcemy — głosili młodzi wicjarze — być organizacją twórczych i demokratycznych obywateli, dla demokratycznego państwa.

2) Chcemy pracę naszą, prowadzoną dotychczas samodzielnie, lecz prawnie uzależnioną od C.Z.K.R., wykonywać dalej, ale tylko w formach organizacyjnych i prawnie niezależnych.

Pierwszy ogólnopolski zjazd Związku Młodzieży Wiejskiej odbył się 29 czerwca 1929 r. Sali użyty na ten cel ówczesny dyrektor robotniczego teatru „Ateneum“, wielki przyjaciel młodzieży postępowej, Stefan Jaracz. Ponad tysiąc młodych wypełniło teatr po brzegi. Obrady pełne były mocnych, a często nawet dramatycznych akcentów. Przemawiali działacze wiciwi z różnych stron Polski, padały ostre słowa pod adresem reżymu i jego zauszników. Oblicze zjazdu było zdecydowanie demokratyczne i postępowe. W tym duchu podjęte zostały liczne uchwały i plany pracy na przyszłość. Zwrócono uwagę na konieczność pielęgnowania głębokich wartości moralnych tkwiących w psychice chłopca przy jednoczesnym odrzuceniu wszystkiego, co wieś uciska i staje w poprzek na drodze jej rozwoju. Uchwalono też nowy statut, na podstawie którego centrala w Warszawie stanowiła nadbudowę samodzielnych związków wojewódzkich,

z których każdy starać się będzie o uzyskanie osobowości prawnej.

Historia legalizacji działalności wiciowej w warunkach ucisku sanacyjnego wymaga odrębnego opracowania. Władze związku zarówno w Warszawie, jak też i w miastach wojewódzkich, musiały wykazać wiele uporczywości, taktu i sprytu. Cel został osiągnięty. Po roku pracy Związek Młodzieży Wiejskiej był zrzeszeniem 6 związków wojewódzkich: Mazowieckiego, Łódzkiego, Kieleckiego, Lubelskiego, Nowogródzkiego i Lwowskiego, skupiających 746 kół i około 22 tysięcy członków. Każde koło wiciowe stanowiło placówkę pełną twórczego rozmachu. Liczba ta stale rosła, wpływ zaś ruchu wiciowego na życie wsi stawał się coraz znaczący.

Kamieniem węgielnym wszystkich poczynań wiciarzy była troska o wyzwolenie sił społecznych tkwiących w gromadzie wiejskiej, o prostowanie upodlanej wiekową niewolą duszy chłopskiej, o niecenienie w szerokich rzeszach ludu wiejskiego potrzeby społecznego, kulturalnego i gospodarczego postępu. Hasło dźwignia warstwy chłopskiej siłami samej wsi realizowano w praktyce dnia codziennego, mimo wściekłego oporu sanacyjnych starostów, wójtów, inspektorów szkolnych i policjantów. Nie obeszło się oczywiście bez ofiar. Przy pomocy organów państwowych i samorządowych, za pomocą kupionych ludzi, rząd gruntował we wsiach ośrodki organizacyjne przeciwstawiające się „Wiciom”. Napór jednak samodzielnego ruchu młodych był tak silny, że nawet koła „si-wowe” i inne organizacje działające wśród młodzieży wiejskiej musiały z czasem przejmować wiciowe formy i metody pracy.

Każdy następny zjazd walny (odbywały się one co roku) mógł rejestrować nowe osiągnięcia. Rosły kadry świadomych działaczy chłopskich. W dużej mierze dzięki „Wiciom” dokonano się polityczne zjednoczenie ruchu ludowego, postępowy program stronnictwa nosił w sobie cechy myślowej pracy wiciarzy. Oni nawiązywali, imieniem wsi, współpracę z organizacjami młodzieży robotniczej, ich reprezentanci tworzyli w miastach koła inteligencji ludowej. Wiciarze wdzili rej w kółkach rolniczych, kółkach gospodyń i różnego rodzaju spółdzielniach wiejskich. Wiciarzy można było spotkać w każdej szkole rolniczej. W Uniwersytecie Ludowym w Szycach, póź niej zaś w G. ci Przeworskiej, kształtowały się ich umysły i charakter.

Twórczą działalność Związku Młodzieży Wiejskiej zahamował wybuch wojny. Rzecznicy pracy organizacyjnej, zdecydowani wrogowie reżymu sanacyjnego, ludzie o gorących sercach a o trzeźwej głowie chwycili za broń. Wielotysięczna armia Batalionów Chłopskich, składająca się głównie z wiciarzy i z kręgu osób z „Wiciami” związanych, dała Polsce hojną ofiarę ze swojej krwi.

Terenem, na którym ruch wiciowy zapuścił bodajże najgłębiej korzenie, była Lubelszczyzna. Wielki zryw młodzieży wiejskiej do samodzielnego życia przybrał tu formy niemal żywiołowe. Nie wygasły przecież na wsi lubelskiej tradycje pracy zaraniarskiej, staszycowskich kótek rolniczych i walk niepodległościowych. Hasło wiciarzy: dźwigamy wieś siłami samej wsi —

trafiło na przygotowane umysły. Nikt młodych nie „ustawiał”, obeszło się bez „wytycznych” i bez przygotowanych z góry rezolucji. Wbrew desperackiemu często oporowi instruktorów C.Z.K.R. i ich terenowych pomocników zjazdy powiatowe, zwoływane jeszcze przed manifestacją warszawską lub też bezpośrednio po niej, zdecydowanie potępiły zamach na niezależność związku. Wszystkie koła żywe i twórcze opowiedziały się za „Wiciami”. Do kolegów walczących w Warszawie popłynęły z Lubelszczyzny słowa poparcia i uznania.

Pierwszy zjazd walny Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” w Lublinie odbył się 21 października 1928 r. Szmata czasu upłynęło od owych niezapomnianych chwil. Siwizna zdążyła przyprószyć skronie, a mimo to brzmiały jeszcze w uszach mocne i radosne wypowiedzi koleżanek i kolegów, przybyłych do naszego miasta z najdalszych zakątków ziemi lubelskiej. Wśród uczestników obrad panowała atmosfera dziwnie krzepiąca. Proste, często chropowate słowa wiciarzy pionęły buntem i wolą walki o lepszą przyszłość wsi i mas chłopskich.

Ważną decyzją było uchwalenie statutu, na podstawie którego związek lubelski stał się organizacją spółdzielczą. Okazało się, że w imię ideologii spółdzielczej można się organizować nie tylko dla zaspokajania potrzeb gospodarczych, ale i w celach wychowawczych, oświatowych i kulturalnych.

Władzom sanacyjnym nie poszła w smak decyzja uspołdzielczenia Związku Młodzieży Wiejskiej. Statut zarejestrował sąd, a nie urząd wojewódzki. Oczywiście ani lubelskim, ani terenowym działaczom sanacyjnym nie podobał się duch panujący w organizacji wiciowych. Szykan więc i przeróżnych trudności nigdy nie brakło. Rozwój jednak związku postępował szybko naprzód. Liczba kół stale rosła, formy zaś pracy wiciowej stawały się coraz bogatsze i pełne głębokiej treści. Poważnymi osiągnięciami mogły się wykazać związki okręgowe i sąsiedzkie. Najbujniej kwitło życie wiciowe w powiatach: pulawskim, krasnostawskim, lubelskim i lubartowskim. Każda większa wieś miała swoją organizację. Młodzież wiejska, zorganizowana w kółkach, dojrzała szybko. Kadry działaczy wiciowych powiększały się w tempie przyspieszonym. Nie zamarała więc praca, kiedy nauczyciele szkół powszechnych otrzymali z Kuratorium O.S. Lubelskiego polecenie zerwania kontaktów z „Wiciami”, oparto się wyłącznie na aktywie własnym. Siłą rzeczy musiała się wzmóc w kółkach i związkach praca samokształceniowa, książka stała się przyjacielem i przewodnikiem każdego wiciarza i każdej wiciarki. Wielką popularnością cieszyły się utwory Orzeszkowej, Sienkiewicza i Orkana. „Listy ze wsi” pisarza spod Tatr wywoływały liczne dyskusje, „Chłopi” Reymonta, „Kordian i Cham” Kruczkowskiego i powieści Wasilewskiej cmawiano na zebraniach wiciowych. „Historia chłopów w Polsce” Świętochowskiego uczyła nienawidzić sprawców niedoli chłopskiej.

Dużą rolę w organizacji odgrywały rozmaite, kilkuniedniowe zazwyczaj, kursy. Prelegentami byli bardziej dojrzały związkowcy. Wielką popularnością wśród młodzieży cieszyły się zjazdy wiciowe. Łączono je często z dożynkami, organizowanymi w sposób nie-

zwykle barwny i nastrojowy. Wieńce dożynkowe składano nie starostom czy też innym dygnitarzom rządowym, ale najstarszym i najbardziej szanowanym chłopom. Na uroczystości wiciowe zjeżdżano się licznie, na wozach, rowerach i pieszo. Żywność w wężelkach przywożono najczęściej z sobą, kryzys gospodarczy bowiem dawał się chłopom we znaki. Pamiętam, że na zjazd wojewódzki zwołany w roku 1932 do Nałęczowa przybyło kilkanaście furmanek z młodzieżą z okolic Hrubieszowa i Biłgoraja. Więź między wiciarzami była tak silna, że potrafiła pokonać przestrzeń i brak środków na podróż — nikt w owych czasach nie zwracał młodzieży kosztów wyjazdu i nie zapraszał do suto zastawionych stołów.

Troskliwie pielęgnowano w kołach młodzieży tradycje strojów i zwyczajów ludowych. Pieśni i obrzędy weselne, podpatrzone na wsi lubelskiej, przekształcili wiciarze w piękne i barwne widowisko godne narodowej sceny, które widzieliśmy jeszcze w pierwszych latach Polski Ludowej, przed okresem stalinizmu.

Z ruchu wiciowego w Lubelszczyźnie wyszło wielu ofiarnych działaczy ludowych. Obowiązki pierwszego prezesa Wojewódzkiego Związku pełnił jakiś czas

Czesław Wycech. W Kozłówce, koło Lubartowa wyrósł Józef Niećko. Długoletnim kierownikiem i prezesem „Wici” w Lublinie był Karol Maj, rodem spod Motycza. Ofiarny i prawy ten działacz wzdłuż i wszerz przewędrował całą Lubelszczyznę. Znał wszystkie ścieżki prowadzące do chałup wiciarzy. Jak nikt inny może, umiał również trafić do serc młodzieży wiejskiej, której sprawom całe swe życie poświęcił. Skromny pomnik, ustawiony przez grono kolegów na jego grobie, na cmentarzu unickim w Lublinie, wskazuje miejsc, gdzie spoczywa jeden z najwybitniejszych działaczy ruchu ludowego w Polsce.

Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” dokonał na wsi lubelskiej olbrzymiej pracy ideowej i wychowawczej. Jej ślady, mimo wyczynów „berioowszczyzny”, są do dziś widoczne. Wyzwolił on w szeregach chłopskich wielkie masy energii społecznej, w tysiącach ludzi zaszczerpił ideę demokratyczną, ucząc myśleć i działać społecznie.

Po latach smutnych doświadczeń, po likwidacji całego niemal dorobku ruchu ludowego przed wsią polską otwierają się obecnie nowe horyzonty. Trzeba szukać iskier w popiołach.

Franciszek Osiak

Sławomir Sobocki

GWIAZDKA DOROSŁYCH

Chociaż zmrok zapadł dopiero niedawno, a ojca i gości nie ma jeszcze w domu, Julek co chwile podchodzi do okna i wypatruje pierwszej gwiazdki. Już od południa nie może się doczekać rodzinnej uroczystości, a przede wszystkim połączonej z nią prezentów. Z wiary w świętego Mikołaja wyrósł już dawno i dlatego martwi go trochę mała liczba uczestników dzisiejszego wieczoru. Dopóki wierzyło się w świętego, można było wierzyć i w jego nieograniczone możliwości; kiedy poznało się prawdziwe pochodzenie upominków, stało się wiadome, że ich ilość zależy od obecnych przy stole dorosłych. Dlatego patrząc teraz w zasnuite chmurami niebo oblicza raz jeszcze, co przynieść mogą nadchodzące godziny.

Rodzice — jeden lub dwa prezenty. Jakże, nie można absolutnie przewidzieć. Już od początku grudnia zasypywał ich taką ilością różnych „chciałbym mieć i „żebym tak dostał...”, że trudno domyślić się, która z tych propozycji najbardziej im się podobała. Sam zresztą nie pamięta, ile tych bardzo mu potrzebnych do szczęścia rzeczy widział i w delikatny sposób proponował ojcu lub matce ich nabycie.

Wujostwo Jankowie — wiadomo, książka z obrazkami. I to pewnie taka, jaką już ma od dawna. Nigdy nie mają szczęścia do prezentów dla Julka; ciotka obiecuje zwykle zamiar („zastrzegłam sobie w księgarńi”), która później w nawale zajęć i tak przeważnie nie dochodzi do skutku.

Wujek Romek — to będzie coś ciekawego. Jego prezenty są zwykle niespodziewane, ładne i kosztowne.

Co też mógł wymyślić w tym roku? Może znów jakiś nakręcany samochód? Ale chyba nie, wujek Romek nie powtarza swoich darów, tak jak Jankowie.

Babcia — ta też daje zwykle coś ładnego. Dziś przyszła wcześniej, pomaga w kuchni mamie, przyniosła tylko swoją dużą torbę, a więc nic wielkiego. Julek pamięta, jak śmiesznie wyglądała w zeszłym roku babka z owiniętą w papier hulajnogą, z którą znikła zaraz w kuchni, gdzie w jej obecności „dziecko nie ma się po co kręcić i przeskadzać”. Dziś prezent musiał zmieścić się w torbie. Może wieczne pióro? — ale chyba nie; babka uważa, że w szkole podstawowej nie powinno się dawać dzieciom takich piór do ręki, a jest niewzruszona w sprawach, które powinny lub nie powinny być. A więc może jakieś wojsko lub klocki?

Ciocia Hanka — wiadomo, słodycze lub kredki. Cioci Hance źle się powodzi, mało zarabia i nie można od niej nic więcej wymagać. Ale Julek i tak ją bardzo lubi. Jest dla niego zawsze dobra, broni go, gdy zasłuży na karę, każdą winę mu wybacza. Jest zresztą taka dla wszystkich. „Hanka żyje po to, żeby ją chwaliłi za dobroć” — mówi czasem mama, która nie przepada za ciotką.

Wreszcie ciotka Wanda — stracona pozycja. Przynieście „coś praktycznego”, jakieś rękawiczki czy skarpety. Prezent dla rodziców — powiedział kiedyś wujek Romek, o co się na niego pogniewała. — Julek jest bardzo rozsądnym chłopcem, — wyjaśni, — wie, że jego rodzicom, jak każdemu dziś, nie jest lekko i na pewno cieszy się, że będą mieli mniej wydatków na niego.

Julek zna te słowa od dawna i odpowie na nie „tak ciociu”, a następnie ładnie jej podziękuje. Trudno, tego wymaga ojciec.

I to już wszyscy, sprawdza w myśl rachunek. Nie będzie wujostwa Stachów, którym zachorowały dzieci i nie będzie najbliższych przyjaciół matki, państwa Wolskich, którzy wyjechali w tym roku na wczasy. Szkoda, odpada przez to kilka prezentów i towarzysztwo zabawy. Dopiero w tej chwili zdaje sobie sprawę, że pierwszy raz nie będzie miał rówieśników przy wigilijnym stole.

Ojciec wraca z miasta. Słychać, jak zdejmuje płaszcz i starannie wyciera obuwie z błota. — Cóż tak stoisz samotnie przy oknie? — pyta syna wszedłszy do pokoju. — Tak sobie myślę, tatusiu, że w tym roku nie będzie przy choince żadnych dzieci.

Z kuchni nadchodzi babka niosąc na wyciągniętych rękach dwie duże, apetycznie wyglądające strucle. Mówimy właśnie — odzywa się do niej ojciec, — że dzisiaj u nas wigilia dorosłych, z młodego pokolenia będzie tylko Julek. — A rzeczywiście, mówi babka, stawiając ostrożnie przyniesione ciasto na kredensie (strucle nie powinny być popękane, a tym bardziej przelamane), no ale i on już prawie dorosły. Chłopiec ucieszył się tym uznaniem jego dojrzałości, ale i zaniepokoił trochę. Czyżby to była zapowiedź jakiegoś praktycznego, jak dla dorosłych, prezentu? Ale na rozmyślanie nie było już czasu. Ojciec każe sobie pokazać choinkę. Julek ubierał ją pierwszy raz samodzielnie. Zajęło mu to całe przedpołudnie. Przegląd wypadł korzystnie. Drzewko podobało się ojcu, zwrócił tylko uwagę na brak bombek na niższych gałęziach. Brak ten był zresztą świadomy; przy dekorowaniu nasunęła się myśl, że wkładając paczki pod drzewko ktoś może stracić i rozbić bombkę. Zaraz potem zaczynają schodzić się goście.

Pierwsza zjawia się ciotka Hanka. Wita się szybko, Julka całuje mocno w oba policzki, mówi dużo nie nie znaczących serdeczności. Oh, mama doskonale dziś wygląda! jaki ładny masz sweterek, Marto, gdzie kupowałaś? i nie czekając na odpowiedź matki, wbrew jej protestom, znika w kuchni, — bo przecież trzeba wam coś pomóc!

Zaraz po niej dzwoni ciotka Janka z wujem Janem. Julkowi nawet do głowy by nie przyszło pomyśleć: wuj Jan z ciotką Janką. Wszyscy wiedzą, że to ona nim kieruje, decyduje o tym, co mąż lubi, a czego nie lubi, a on sam jest raczej dodatkiem do jej osoby. Jan siada po chwili w fotelu i zagłębia się w lekturze świątecznego numeru „Przekroju”. Jego żona rozsiada się również wygodnie i od czasu do czasu radzi coś krzątającej się już przy stole matce i biegnącej między kuchnią a pokojem Hance. Są to rady drobne, nie chce przecież wtrącać się do gospodyni, czuje się „w gościach”. Dopiero po powrocie do domu wysypie sporo krytycznych uwag o urządzeniu wieczoru. Mąż przyzna jej słusność, chociaż nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że ciasto było nie słodkie i skandaliczny był brak siana pod obrusem. Wiadomo, Marta nie bardzo przykłada wagę do tradycji. — U nas nie zapomniałoby się o tych rzeczach — powie wtedy Janka. Od kilku lat zapowiada wigilię u siebie, ale zawsze w ostatniej chwili zapomina o tym.

Ostatnia pojawia się ciotka Wanda. Ubrana jak zwykle, starannie i czysto, ale w jakiejś bardzo przedwojennej sukience, jak zwykle chłodno życzliwa dla wszystkich. Zaraz od drzwi komunikuje: był u mnie po południu Romek, wyobraźcie sobie, że coś mu się zepsuło w tej telewizji i szedł rotić remont — jutro dają program — pewnie nie zdąży już przyjść, prosił, żeby na niego nie czekać. Julkowi robi się bardzo żal. Lubi młodego wujka-inżyniera, no i coś u jednego upominek mniej. Babka też jest wyraźnie niezadowolona. Przy stole powinni być wszyscy członkowie rodziny, dziś i tak nie ma kompletu, a tu jeszcze zawód w ostatniej chwili. Poczesa ją tylko myśl, że przez to siądzie do wieczery parzysta liczba osób, a tak właśnie być powinno.

Goście czekają na moment siadania do stołu. Ojciec opowiada, jak to syn nazwał dzisiejszy wieczór „gwiazdką dorosłych”. Ciekawe, Julek dałby głowę, że to właśnie ojciec tak powiedział. Zauważył już, że ojciec wkłada mu czasem w usta swoje słowa, a słuchacze kiwają wtedy z uznaniem dla jego, Julka, rozsądku czy też dowcipu. Potem mówi, że dzieci Stachów czują się już lepiej, ciocia Janka opowiada o złych stosunkach w biurze u męża, który nigdy nie potrafi się postawić jak należy, a gospodarz zaczyna się kręcić koło szafy, w której zwykle przechowuje się gwiazdkowe niespodzianki.

Julek chciałby bardzo, aby uroczystość już się rozpoczęła, podchodzi znów do okna, ale niestety, niebo zasnutę jest chmurami, gwiazd nie widać. Chłopcu przychodzi nagle doskonałą myśl do głowy. Patrzenie, woła, jest już pierwsza gwiazdka, tam na antenie telewizyjnej! i pokazuje światło na górującej nad miastem wieży. Ciotka Janka robi oburzoną i zgorzaloną minę. — O nie, mój kochany, ta czerwona gwiazdka to dobra dla wujka Romana. Dla nas potrzeba tej gwiazdy z nieba, kończy uroczystość. Po chwili dodaje jeszcze z wyraźną złością: to gwiazdka dla bardzo dorosłych, my jeszcze nie dorosliśmy do niej. — Ależ Janko, mówi nieśmiało jej mąż, a ojciec każe zaraz przynieść z kuchni korkociąg. Chłopiec jest trochę zdziwiony. Nawet ładnie to ciocia wymyśliła; tak, jakby brat mamo pracujący w telewizji przesyłał im pozdrowienia, skoro sam nie może być obecny, ale czego tak się rozzłościła? No cóż, wiadomo, ona jakoś nie lubi wujka Romana. Zdaje się, że nie lubi też mamy. Kiedyś słyszał, jak mówiła do ojca: czegoż ostatecznie możemy wymagać od Marty z tą jej aktorską przeszłością (mama występowała kiedyś w prawdziwym teatrze); cóż chcesz, pochodzenie i przeszłość pozostawiają na człowieku niezatarte ślady.

Wreszcie wieczór się zaczął. Wuj Jan, którego głód skierował z fotela pod okno, wypatrywał jakąś mizerną gwiazdkę i rodzina zebrała się przy stole. Babka wzięła do rąk talerzyk z oplatkiem i podeszła do ojca. — Życzę ci zdrowia i pociechy z żony i syna. Takiej pociechy, na jaką zasługujesz i jaką powinienes mieć; spojrzę przy tym spod oka na matkę. Ojciec też coś tam mówi do swojej mamy, ale Julek nie słyszy dobrze, bo zastanawia się właśnie, dlaczego niektórzy dorosli, jak na przykład babka i ciotka Hanka, płaczą zwykle przy takim wesołym świącie. Potem składanie życzeń staje się ogólne i przy stole zapanowuje gwar.

Marta dzieli się opłatkiem z rodziną męża. Uśmiecha się trochę z przymusem. Nie chce o tym myśleć, ale gdy się zbiorą razem, jakoś zawsze na pamięć przychodzi wszystkie doznane od nich przykrości. Nieważne, drobne uwagi, że Bolek przyzwyczajony był w domu do tego lub owego, że nie pamięta o tym czy o owym dla Bołka, że Bolek jakiś ostatnio taki smutny... Dawniej starała się bronić, przekonywać, że przecież nie wszyscy ludzie muszą być jednakowi, że oboje są szczęśliwi ze sobą właśnie tacy, jacy są, że i dla niej niektóre jego przyzwyczajenia są obce a przecież kocha go i jest jej z nim dobrze. On sam zresztą zupełnie szczerze nie miał do niej pretensji, ale też, jak to czasem określał, chciał mieć wreszcie święty spokój. Z czasem zaczęła po trochu rezygnować ze swoich zwyczajów, zainteresowań i upodobań, które nie podobały się matce i siostrze męża. Zarzuty pod jej adresem stały się nieco rzadsze. Mają więc już spokój. Może nie ten święty, ale przynajmniej względny. Tylko, że to szczęście, dla którego zdobyła się na wiele wyrzeczeń, zostało gdzieś po drodze do tego spokoju.

Na rozpamiętywania nie ma czasu. Obowiązki gospodni odwołują Martę do kuchni.

Hanka całuje swoją mamę w rękę, a potem w policzki. Babka odwzajemnia się pocałunkiem złożonym na czole córki. Dobre z niej dziecko, zawsze była taka uczynna i posłuszna. I z pewnością nigdy tego nie żałowała. Tak, nigdy, myśli starsza pani, jakby chcąc upewnić się w swoim przekonaniu. Hanka życzy matce zdrowia i długiego życia. Dobrą ma matkę. Zawsze radziła jej w życiu, zawsze nią pokierowała. I nawet wtedy, kiedy nie dopuściła do wymarzonego małżeństwa, też z pewnością chciała dobra córki. I Hanka nie dopuszcza nawet myśli, żeby mogła mieć żal do matki. A szczególnie dziś, w święto pojednania. Tylko tak jej jakoś ciężko. Półka opłatek wraz z kilku łzami.

Wanda składa wszystkim szablonowe życzenia z lekkim grymasem na ustach. Dawniej wyjeżdżała zwykle z mężem na święta. Demonstrowała tym swoją ateistyczną postawę. Od czasu gdy zginął w wypadku samochodowym w 1946 roku, bierze udział w większych obchodach, uważając, że pokazuje w ten sposób swoją nechęć do obecnych rządów. Ma im za złe nieporządki na drogach w rok po zakończeniu wojny i zbyt szybkie tempo wydarzeń, które, jak uważa, mąż przysłał życiem. Od tego dzieli ją już tylko krok do negowania wszystkiego, co dzisiejsze. Krok ten wykonała szybko przy pomocy matki i Janki i celem jej stało się krytykowanie i protestowanie przeciwko współczesności. Ponieważ środki ma dosyć skromne, wykorzystuje każdą, nawet nikłą sposobność. Dlatego nosi przedwojenne fasony sukienek i chętnie opowiada o uczcie duchowej urządzonej sobie czasem lekturą dawnych czasopism.

Złożywszy życzenia stwierdza, że opłatki nie mają tego smaku co za jej młodości — pewnie w nich więcej wody niż maki.

Janka, stojąc przed Wandą, myśli, jaka piękna idea przyświeca świętom. Wie przecież, że tamta znalazła się tu tylko na znak protestu, iż dawniej nawet śmia-

ła się z tradycyjnych zwyczajów, ale mimo to może jej dziś darować te błędy i pouczyć, do jakiej dobroci jest sama zdolna. Przeżywa to co roku.

Jan składa życzenia żonie dość lakonicznie. Głód i postawiona przez szwagra na stole karafka zachęcają do pośpiechu. Zresztą o czym tu gadać, z losem się pogodził, życzy jej wszystkiego dobrego, a sobie tylko tyle, żeby mu zbyt często nie dokuczała.

Julek nie zgadza się z ciotką Wandą. Bardzo lubi smak opłatka, to też słuchając jak starsi życzą mu (czy raczej sobie?) żeby był grzeczny i nie sprawiał kłopotów rodzicom, stara się ułamać jak największy kawałek.

Przy siadaniu do stołu ojciec stwierdza nagle, że w kuchni zostały nie wytarte jabłka i wręcza Julkowi ściereczkę, którą ma je tam doprowadzić do polsku. Wychodząc z pokoju słyszy Julek upragnione skrzyknięcie drzwi od szafy. Gdy wraca, pod choinką leży spora ilość paczek i paczuszek. Na oko przedstawiają się nienajgorzej.

Przy kolacji ciotka Janka chwali rybę, która jest doskonała, chociaż może troszeczkę za słona, ciotka Hanka odsuwa podawane sobie półmiski z krzykiem „gdzieżbym tyle zjadła“, a babka opowiada o dawnych wigiliach. Jan jest milczący, wypity alkohol dodał mu tyle animuszu, że bez strachu wspomina w myślach swoje kawalerskie święta spędzane wesoło w uniwersyteckim mieście w towarzystwie kolegów z dobrych domów.

Po jedzeniu śpiewają kolędy. Wujek Jan bardzo głośno, ciotka Wanda murrurando, a Julek bardzo szybko, bo naprawdę czas już najwyższy na sięgnięcie pod choinkę. Wreszcie paczki zostały rozpakowane. Dary okazały się wspanialsze od przewidywań. Poza przeczuwaną księżką od Janków i kredkami od Hanki — też się przydadzą, pomyślał, nie chcąc jej robić nawet w duchu przykrości, — znalazły się tam łyżwy i wieczne pióro od rodziców, piękny samochód — o dziwo — od Wandy i prawdziwy zegarek od babki. Wujek Romek też nie zapomniał o siostrzeńcu. Przesłał przez Wandę pięknego „młodego konstruktora“ składającego się z wielkiej ilości metalowych części, śrub, kluczy francuskich i szwedzkich.

Julek dziękuje wszystkim gorąco, oni całują go lub klepią po ramieniu i tylko babka nie chce przyjmując podziękowania. — Bądź wdzięczny świętemu Mikołajowi, mówi. Uważa, że powinien w niego jeszcze wierzyć. I chociaż wszyscy uśmiechają się przy tym lekko, — jest przecież jasne, że chłopiec wie skąd pochodzą prezenty — pozostaje niewzruszona. Cieszy się tu dostatecznie poważnym autorytetem, aby móc pozwolić sobie na nie liczenie się z faktami.

Starsi siedzą teraz wygodnie w fotelach lub przy stole i tylko Hanka znika w kuchni. Rzekomo nie spozostają jej nieobecności, by zdziwić się głośno, gdy wróci do pokoju i oświadczy: zmyłam ci, Marto, naczynie, nie będziesz miała kłopotu po gościach. Wtedy zawołają: kiedyś ty się tak uwinęła, a Marta powie: jesteście naprawdę bardzo dobra, Hanko.

Znów słychać kolędy, tym razem nadawane przez radio. — Że też to jednak nasza Warszawa nadaje, dziwi się Jan. Julek też się dziwi; co roku ktoś musi być tym zaskoczony. Dlaczego dorośli nie mogą przyzwyczaić się do tego i w ogóle co w tym takiego nad-

zwyczajnego? Zaraz jednak zajmuje się przeglądaniem swoich nowych skarbow.

— Jednak Romek nie przyszedł, odzywa się matka, myślałam, że może wpadnie choć po kolacji. — Oh, on ma ważniejsze sprawy, odpowiada z przekąsem Janina, buduje socjalizm, więc musi reperować tę ich wybrakowaną telewizję. — O, tak! woła Julek znad swoich zabawek — musi, jutro jest przecież program dla dzieci, tatuś obiecał, że pójdziemy do Cedetu obejrzeć, prawda tatuś? — Tak, tak, odpowiada ojciec i szuka szybko jakiegoś innego tematu. Na szczęście w drzwiach staje Han'ka i wszyscy zajmują się chwaleństwem jej uczynności. Ona siada w fotelu. Jest trochę smutna. Opuszczając kuchnię pomyślała, jak dobrze byłoby, gdyby on czekał w pokoju jej wejścia. Przez tyle lat z pewnością nawet i matka polubiłaby go. Ale cóż, tak już widocznie musiało być i nie ma o to do nikogo żalu.

Wanda ziewa dyskretnie. Jest już nieco znudzona tym nastrojem, ale musi, po prostu musi, okazać swój protest tym, którzy chcą nami kierować, a z pewnością nie potrafią. Chociaż robią to już dziesięć lat, myśli gdzieś bardzo, bardzo głęboko, jakby w tajemnicy przed samą sobą. Szkoda tylko, że oni właśnie tego protestu nie widzą, a jej najbliżsi już się do niego przyzwyczaili i nie wywiera na nich takiego

wrażenia, jak za pierwszym razem. Pamięta, jak wtedy mówili: no proszę, nawet Wanda wróciła do nas. Odzywa się głośno: jakieś smutne te święta... — Tak, tak, wpada jej w słowa Bolesław, święta bez śniegu tracą swój charakter — i zaraz zaczyna toczyć się rozmowa o dawnych dobrych, śnieżnych i mroźnych świętach.

Czekają pory wyjścia na pasterkę. Marta znużona całodziennym krzątaniem marzy o łóżku, ale wie, że Bolkowi byłoby przykro. Nie chce też zniechęcić teściowej, która uważa, że powinna pójść cała rodzina. Jan również w cichości ducha najchętniej poszedłby już przespać się u siebie w domu, ale to nie wypada, a zresztą właśnie przed chwilą Janka wspominała, iż on nie opuściłby za nic pasterki. „Bo Janek, chociaż ciapowaty, ale ma swoje zasady”.

Babka przypomina Julkowi, aby powiedział wszystkim, kiedy będzie już jedenasta. Jest to złędne. Oczy chłopca i tak co chwilę wędrują z dumą na przegub lewej ręki, gdzie pięknie lśni nowy zegarek. Na domiar szczęścia przewyciężył już pierwsze trudności i spod manipulujących przy „młodym konstruktorze” dłoni wyrasta coraz większa wieża jakiejś wspaniałej konstrukcji.

Piękna jest ta gwiazdka dorosłych — myśli.

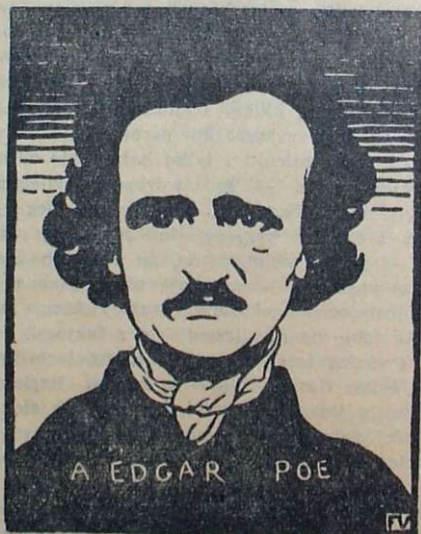
Stawomir Sobocki

Edgar Allan Poe

W stulecie (1856) ukazania się pierwszego tomu przekładów Baudelaire'a, który odkrył genialnego pisarza amerykańskiego dla Europy.

ELDORADO

Spolszczyła MARIA BECHCZYC-RUDNICKA



Edgar Allan Poe wg rysunku F. Vallatona

Szlakiem jarów i skał
Jeździec, śmiałek na schwał,
Dążył naprzód śpiewając ze swadą.
Lubił drogi swej trud —
On kochankiem był złud,
Ziemi szukał, co zwą „Eldorado”.

Srebrzy skronie mu czas,
Lecz przez rzeki, przez las
Wciąż wędruje i drogi wciąż bada.
Tylko śpiewny ścichł głos
Pod ciężarem złych trosk,
Och, daleko ten kraj Eldorado!

A gdy opadł już z sił,
Nagle ujrzał skroś mgły
Przy swym boku bladego kamrata...
Błądny jeździec mu rzekł:
„Bądź ty upiór lub człek,
Błagam, wskaż złoty kraj, Eldorado.”

I wyszeptał ów cień:
„Noc i dzień, noc i dzień,
Gdzie obłoków majaczy gromada,
Poprzez piekło, przez raj,
Wiecznie jedź, nie licz staj,
Jeśli celem twym jest Eldorado.”

K R U K

Przełożył KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

O północy kiedyś senny w księdze-m się pograżył cennej,
zapomnienia poszukując wśród zawiłych wiedzy dróg;
sen mnie zmorzył. Cisza trwała... Wtem coś lekko zadźwięczało,
coś cichutko zapukało i podeszło pod mój próg.
Pomyślałem: „Gość spóźniony zaszedł tutaj pod mój próg —
gość, bo któż by inny mógł.“

Pomnę dobrze, jak to było: noc grudniowa, zamieć wyła,
głównie się w kominku tliły, skry błyskały, gasy znów..
Świt daleko. Ból uparty. Na nic książek mądrych karty,
pełno wspomnień niezatartych i na jawie i w czas snów
o Lenorze, co ode mnie w kraj wieczystych poszła snów,
poszła cicho i bez słów.

W jedwabistych szmer zasłonach, senny szelest stor czerwonych
dziwnym dreszczem mnie przeniknął, zdjął mnie nagle jakiś strach,
lecz zwalczając lęk ogromny powtarzałem nieprzytomny:
„To zapewne gość bezdomny stoi tam przy moich drzwiach,
gość spóźniony puka cicho stojąc drżący przy mych drzwiach,
gość, co wejść chce pod mój dach“.

Lecz zelżała w sercu trwoga, więc zbliżyłem się do progu.
„Wejdz, ktokolwiek jesteś, gościu. Długo czekasz. Wybacz mi:
zmgola w nocy mnie nauka i ocknąłem się: ktoś pukał,
niewyraźnie, lekko stukał najwidoczniej do mych drzwi.“
I na rościez otworzyłem do komnaty mojej drzwi —
tylko noc, co ze mnie drwi.

W mrok bezdenny wzrok wpijając, stałem cicho się nurzając
w morzu uczuć niepojętych, w których duch mój zwolna nikił,
ale trwała noc surowa, pustka, cisza pogrzebowa
i jedyne nagle słowo ją przeszło — jeden krzyk,
krzyk: „Lenora!“. Tylko echo powtórzyło mi ten krzyk
Tylko echo — długo stygł.

I wzruszony niepojęcie, w myśli gubiąc się zamięcie
drzwi zamknąłem. Znów ktoś puka, lecz wyraźniej niżej w przód.
Pomyślałem: „Czemu drzę ja? W okiennicę tnie zawieja,
wicher się złośliwie śmieje — oto wszystko, cały cud,
okiennice wiatr szamoce — oto sekret, cały cud,
wiatr — to sprawca moich złud.“

Pchnąłem okno, zazgrzytało i przez otwór nocy śmiało
wkroczył Kruk majestatycznie, starożytnej baśni twór,
bez ukłonu, dumnie, twardo do komnaty wkroczył hardo,
z miną pańską, z lekką wzgardą, wleciał z szumem czarnych piór
i na białym siadł Pallady w sinym lśnieniu czarnych piór
Kruk — dziwaczny nocy stwór.

Obrzuciłem go spojrzeniem, poprzez smutku mego cienie
przemknął uśmiech — tak poważnie wkroczył druh ten czy też wróg.
„Choć bez hełmu i przyłbicy, gdzie śpi Nocy czarnej bóg.
synu mrocznej tajemnicy, gdzie śpi Nocy czarnej bóg.
Jak cię zwą w krainie Styksu, gdzie śpi Nocy czarnej bóg?“
„Zwą mnie „Nigdy“ — kraknął kruk.

Ta odpowiedź mnie zdumiła: słowo mocno zadzwoniło.
Rzecz niezwykła. Co za imię! Gdzieżby kto uwierzyć mógł,
że czyjś dom osierociały gość nawiedził, gość zuchwały
i na białym usiadł białym wśród wichury dzikich fug,
siadł na białym mroczny, czarny wśród wichury dzikich fug
tajemniczy „Nigdy“ — kruk.

Lecz kraknąwszy owo słowo znowu milczał on surowo,
jakby słowem tym swej duszy spłacił ciężki jakiś dług,
siedział lekko, uroczyste. Głos mój cichy jak szmer liści
szeptał: „Jutro oczywiście ty opuścisz już mój próg
jak nadzieje i drухowie ty opuścisz też mój próg“.

„Nigdy“ znowu kraknął kruk.

Drgnęło znowu moje serce słysząc słowo to szydercze.
Rzekłem: „Pana twego kiedyś znać pokonał jakiś wróg,
wróg okrutny, nieugięty. Srogim ciosem tym dotknięty
odtąd głosem ci zawziętym kazał trąbić w kruczy róg,
losom złym na przekór trąbić tobie kazał w kruczy róg —
„Nigdy“ — krzyk rozpacznych dróg“.

Wzrokiem ptaka przesywając, smutnie doń się uśmiechając
na fotela padłem atłas, mózg mi orał myśli pług
i bezsilny rozmyślałem lgnąc do karia całym ciałem
i daremnie zgadnąć chciałem, co by też powiedzieć mógł
dumny, wstrętny i posepny, co by też powiedział mógł
przez to słowo „Nigdy“ kruk.

I siedziałem w myślach tonąc, wzrok płonący ptaka chłonąc
zapatrzony w aksamitny czarnych skrzydeł jego łuk.
Myśl za myślą goniąc nową, rozważałem wciąż surowo,
lampa umbrą swą liliową kładła pasma ciemnych smug.
Ach, nie siadę już niestety w blasku lampy jasnych smug
nigdy u Lenory nóg!

Cyt! Powiały niewidzialne jakby skrzydła dwa błagalne,
zapach rozlał się kadzidła, jakiś szmer — ach, cóż to, cóż?
„Bóg usłyszał me westchnienia, śle mi kielich ukojenia,
pokój, ciszę zapomnienia. Kórz się, serce moje, kórz!
Daj, wychyle go, zapomnę. Kórz się, serce moje kórz!“

Kruk mi kraknął: „Nigdy już!“

„Kruku czy też ducha z piekła“ — cicho warga ma wyrzekła —
„ty przyszłości znasz wyroki. Gdy więc czart czy wicher burz
zesłał cię tu, ptaku srogi, tu w Nieszczęścia mego progi,
gdzie mi Losu cios złowrogi wbił po trzonek w serce nóż, —
powiedz, czy się zgoi rana, którą zadał mi ten nóż?“

Kruk mi kraknął: „Nigdy już!“

„Ptaku czy też ducha z piekła“ — znowu warga ma wyrzekła —
ty przyszłości znasz wyroki. Mów, pociechą sercu służ!
Tam gdzie Raj jest promienisty, czy odnajdę — wiekuisty
byt mej Pani jasnej, czystej wśród anielskich, białych róż,
czy znów ujrzę mą Lenorę wśród anielskich, białych róż?“

Kruk mi kraknął: „Nigdy już!“

„Jeśli tak, na me wezwanie w mroku nocy zgiń, szatanie!“ —
jąłem krzyczeć nieprzytomnie. „Rusz się z miejsca swego, rusz!
Twe ponure czarne skrzydła — symbol kłamstwa i mamidla.
Diabla mocy! Zgiń, obrzydła! Samotności pragnę głusz!
Nie dręcz, nie szarp mego serca! Samotności pragnę głusz!“

Kruk mi kraknął: „Nigdy już!“

Odtąd siedzi w moim domu czarny gość wciąż nieruchomo
na Pallady białym białuście w ciemną noc i w blasku zórz.
Wzrok się jego złością żarzy. — Tak z pewnością Demon marzy. —
Stoi przy mnie wciąż na straży, smutku mego wierny stróż.
I już duszy mej posepnej ten posepny anioł stróż
nie opuści nigdy już.

Rainer Maria Rilke

(1875 — 1926)

Przekłady JANINY BRZOSTOWSKIEJ

SAMOTNOŚĆ

Samotność jest jak deszcz.
Z morza wychodzi aby spotkać zmierzch;
z równin biegnących szeroko, daleko
w rozległe niebo nieustannie wrasta.
Dopiero z nieba opada na miasta.

Mży drobnym deszczem w godzinach przedświtu,
kiedy ulice biegną witać ranek,
i kiedy ciała nie znalazłszy nic,
od siebie odsuwają się, rozczarowane;
i kiedy ludzie, co się nienawidzą,
spać muszą razem — bardziej jeszcze sami:

samotność płynie całymi rzekami...

OBŁĘD

Musi wciąż rozważać: Jestem... Jestem...
Kto jesteś, Mario, kto?
Jam królowa, władam królestwem!
Na kolana przede mną, w proch!

Ciągle płacze: Byłam... ach byłam...
Kim byłaś, Mario, mów!
Byłam dzieckiem niczym i żyłam
biedna, bosa... Brak na to słów.

I wyrosłaś z ubogiej dziewczyny
na księżniczkę, którą trzeba czcić?
O, bo wszystkie rzeczy są inne,
niżli żebrak widzieć je zwykł.

Więc to rzeczy nadały ci moc,
kiedy? zechciej wytłumaczyć!

W jedną noc, przez jedną tylko noc
przemawiały do mnie inaczej.
Wyszłam na ulicę: wyglądała
jakby ktoś naciągnął na nią struny;
wtedy stałam się melodią cała
i tańczyłam od ściany do ściany.

Przemykali się ludzie ku domom,
jakby chcieli w nie wrócić, lękiem gnani, —
o, bo tylko królowej wolno
tańczyć, tańczyć tak ulicami!...

Przełożyła Janina Brzostowska

Rainer Maria Rilke

Przekłady STEFANA ZARĘBSKIEGO

*
*
*

Ma księga — wieczór. Z jej okładek
adamaszkowa czerwień lśni.
Na chłodną dłoń ją zwolna kładę,
odpinam klamer złote szwy

i czytam pierwszą stronę długo —
a cisza taka wokół mnie —
i jeszcze wolniej czytam drugą
i trzecią potem... i już śnię.

STARUSZKA

Lekka, w swej białej chuście,
jakby po śmierci widoma.
Ze starej komody już się
ulotnił ów luby aromat,

co dawniej owiewał od proga.
Już nawet nie trapi jej teraz,
kim jest tu (: kuzynka uboga)
i w myślach rozważa coś, zbiera

i z troską wśród sprzętów swych drepce,
porządku coraz zaczyna —
bo może wciąż w tej izdebce
ta sama mieszka dziewczyna?

Przełożył Stefan Żarebski

Konrad Eberhardt

PRZED — I W CZASIE POTOPU

W „Transatlantyku“ Witolda Gombrowicza, jednego z najwybitniejszych żyjących pisarzy polskich — znajdujemy znakomitą scenę, gdy w czasie przejazdu w łodzi podwodnej przez kanał La Manche kilka warszawskich „pań z towarzystwa“ zabawia się rozmową o kapeluszach i sukienkach. Wokoło szaleje wir walki, pękają głębinowe bomby, a panusie wspominają sklepy z ul. Chmielnej, krawcowe, ostatnie modele itd. Powróciło do mnie wspomnienie tej znakomitej groteski podczas mojej ostatniej podróży teatralnej do Lublina, gdzie oczekiwały mnie dwie sztuki z różnych epok: współczesny „Ararat“ Artura

Marii Swinarskiej oraz klasyczny, zawsze porywający swym urokiem „Fantazy“ Juliusza Słowackiego.

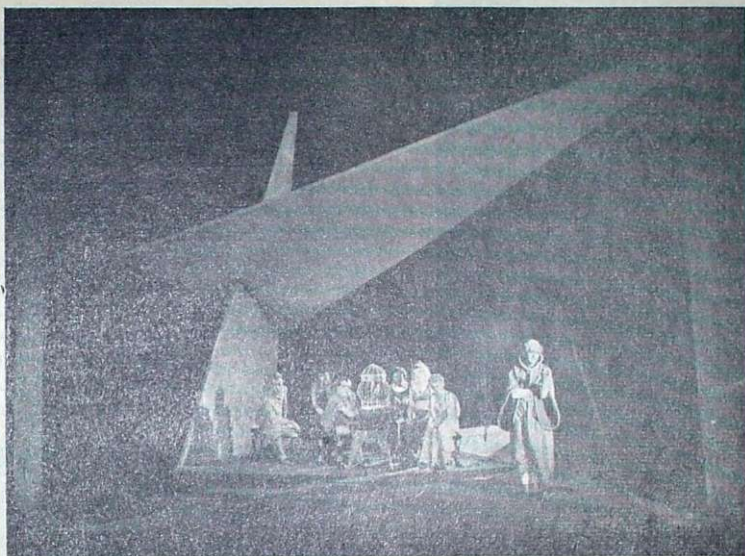
Ale impresja z książki Gombrowicza przytoczona powyżej może spełniać rolę motta do obu utworów, mimo dzielącego je dystansu epok. Atmosfera kataklizmu nieuświadomianego w pełni przez ludzi unosi się zarówno nad dużą sceną teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie, jak i nad sceną kameralną, na której możemy oglądać bardzo interesującą inscenizację „Araratu“. W „Fantazym“ wzbiera potop przemian, które o mały włos nie pochłonęły dworu hrabiów Respektów, a z czasem zapewne wyrwą

grunt spod nóg Fantazemu i Idalii, dwóm lekkomyślnym motyloom.

A więc ludzie w obliczu wielkiej klęski, ekonomicznej czy moralnej. I tutaj już ostateczna granica dla snucia jakichkolwiek analogii pomiędzy arcydziełem Juliusza Słowackiego a zgrabną sztuką Artura Marii Swinarskiego. Zresztą wrażenia wyniesione z obu sztuk były zupełnie różne. Na przykładzie tych dwóch spektakli mogłem się zorientować, jaka różnica dzieli przedstawienie, w którym aktorom „chce się grać”, od przedstawienia granego niejako „na siłę”. Mogłem więc poszerzyć zakres obserwacji dotyczących psychologii aktorskiego rzemiosła. „Ararat” był przedstawieniem, w którym aktorzy ustawicznie tworzyli grane przez siebie postaci, rozbudowywali je, uprawdopodobniali — w „Fantazym” natomiast ślady

rzyzny „inny, lepszy świat”, że urzeczywistniony słowo „socjalizm”, a dobiliśmy do tego samego Araratu, z którego chcieliśmy uciec. I myśląc o historii z perspektywy dnia dzisiejszego często chciałoby się zaśpiewać szekspirowską piosenkę: „a świat się nie zmienia”...

Przepraszam za nazbyt długi cytat. Długi, ale istotny. Dowodzi gwałtownej tendencji szukania w realizowanych obecnie sztukach sprzymierzeńców dla dokonującej się powtórnej, oczyszczającej rewolucji. Szukania tych sprzymierzeńców za wszelką cenę. W nasze życie polityczne wniósł się zarówno nonkonformistyczny Kordian, jak i szekspirowski „Hamlet” (vide: „Hamlet po XX zjeździe” Jana Kotta). Wykładnikiem wielu naszych racji moralnych stał się Gaspar Diaz z „Kłamstwa politycznego” Vercorsa,



„Ararat”

wprawnej i niebanalnej ręki reżysera zacierają się w niezdecydowanej, nieco „leniwej” grze aktorów. Ale każde z tych przedstawień dorzuciło swoje własne wartości do skarbonki „wędrownego recenzenta”.

I

Dzisiaj do obowiązku, od którego nie ma wymownienia, należy inscenizowanie sztuk niezależnie od daty ich powstania — pod kątem ostatnich przemian politycznych. Jerzy Goliński, twórca lubelskiego przedstawienia „Araratu” Artura Marii Swinarskiego, pisze w programie: „Pracowaliśmy nad „Araratem” jesienią 1956 roku, w Polsce. To określało nasz stosunek do zagadnień sztuki, gdyż jesteśmy nie tylko pracownikami teatru, jesteśmy także obywatelami. Wokół nas (a przede wszystkim w nas samych) runął las fetyszów grzmiących bębnami i brzęczących miedzą. Kroniki oficjalne nazywają to ujawnieniem wypaczeń i posługują się kryptonimem „kult jednostki”. Nie, to była rdza zżerająca rewolucję. Mówiliśmy, że stwo-

jak i święta Joanna, bohaterka „Skowronka” Jean Anouilha. Napisane w czasie okupacji „Święto Winkelrieda” Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Zagórskiego urosło nagle do rangi co najmniej proroczego w swej aktualności dzieła. Wielu widzów nie chciało wierzyć, że utwór ten naprawdę nie został napisany co najmniej w dniach XX zjazdu. W owym orszaku zamierzonych czy mimowolnych sprzymierzeńców „polskiego października” Jerzy Goliński chciał dołączyć Artura Marię Swinarskiego, autora „Araratu”.

Co do mnie, jestem zdania, że nie zawsze się opłaca szukać sprzymierzeńców politycznych czy światopoglądowych za wszelką cenę. I nie wszystkie sztuki po to, aby były wartościowe i grane, muszą tę rolę spełniać. Nie musi tego warunku „aktualności” czy też doraźnej, publicystycznej przydatności spełniać również napisany w 1949 roku „Ararat”. Sztuka ta zrazu uwodzi nas pozorami głębi, wielkiej przenośni, filozoficznego uogólnienia. Wydaje się, że w tej komedii zawarte są prawdy niemal oczekujące na wi-

dzów, aby je podjęli właśnie dzisiaj. Ze zostanie tam wytoczony co najmniej wielki proces ludziom, historii czy Opatrzności Boskiej. Później złudzenia się rozwiewają. Ludzie, których potop uniósł na arce daleko od zrujnowanego kraju, mają nam bardzo niewiele do powiedzenia.

Dla ścisłości należy od razu stwierdzić, że intencją autora było właśnie to, aby ludzie ci pozostali w kręgu swej absolutnej przeciętności i zwykłości, aby



„Fantazy“: Maria Wojdalińska (Hrabina Respektowa) i Zbysław Jankowiak (Fantazy)

tę swoją małość, zwykłość, ograniczoność wywieźli w arce na spiętrzonych odmętach potopu. Aby kobiety zostały niezmiennie przyjemne i głupie, oscylujące między rondlami, lustrem i łóżkiem w kręgu, w którym Swinarski chętnie je zamyka, aby mężczyźni wiedli swe bynajmniej nie bohaterskie marzenia o ewentualnym panowaniu, handlowaniu i przesypaniu się. Ani źli — ani dobrzy, po prostu ludzie. Chcą jeść, spać, uciskać innych, jeśli się nadarzy sposobność. Swinarski pragnie tą drogą dowieść nonsensowności oczyszczających rzekomo kataklizmów w rodzaju potopu. Po co, na co potop? Człowiek po przejściu kataklizmu pozostaje taki, jaki był poprzednio, niezmienny. Po obejrzeniu sztuki Swinarskiego nie pozostają nam już żadne wątpliwości w tym względzie. Pozostaje tylko powtórzyć maksymę Chamforta, jaką znajdujemy w programie: „Jedynie bezużyteczność pierwszego potopu sprawia, że Bóg nie zsyła drugiego“.

Jest w tym jakaś prawda cząstkowa, wprawdzie nie nowa, ale zawsze podniecająca umysłowo. Tym bardziej — gdy jest podana dowcipnie, ze zmużonym okiem, z pisarskim temperamentem. Byłe nie robić z tego wielkiej racji filozoficznej, odkrycia, posłannictwa dla ludzi przeżywających rok 1956. Bo wtedy trzeba by założyć wielkie weto.

Nieprawda! Ta grupka przypominająca prywatnych sklepikarzy z ulicy Chmielnej plus sympatyczny Murzyn, który pozostał po Festiwalu w Warszawie (zapewne z powodu owych czterech białych żon) — nie mają żadnych praw ani do reprezentowania ludzkości, ani jakichkolwiek postaw ideowych. Chyba mentalności kupiectwa zagrożonego zagładą. Atmosfera panująca na arce przypomina stosunek z pensjonatu „Orbisu“, przeznaczonego, jak wiadomo, niezupełnie dla świata pracy. „Mieszkańskość“ bohaterów sztuk Swinarskiego — zarówno „Achilleś i panien“, jak „Araratu“ jest niewątpliwa. Swinarski ma niewątpliwą dar rysowania rozk. sznych panius czy mężczyzn zajmujących się interesami. Jeżeli oni mają nam wygłaszać jakiegokolwiek nauki — przepraszam bardzo. Na to się nie zgodzę. Już wolę tych bohaterów, których Swinarski spieszy czym prędzej „odbrzązować“ i ukazać od kuchni. Takich spod znaku świętej Joanny, której postać nagle nabrała niemałego znaczenia.

Ale wbrew niepokojącym zapowiedziom — reżyser, Jerzy Goliński nie potraktował „Araratu“ jako jeszcze jednej rewelacji politycznej. Nic podobnego, po prostu zrobił znakomite przedstawienie. Pomiedzy przeświadczeniem recenzenta, że ogląda dobrą teatralnie robotę, a argumentacją tego przeświadczenia — nie istnieje zależność bezwzględna. Teraz, po upływie pewnego czasu, rozporządzam już materiałem dowodowym. Istotnie, „Ararat“ jest dobrym przedstawieniem. Gdzie widzę główną jego zaletę? Przede wszystkim w zachowaniu jednolitego stylu, charakteru całego spektaklu, który był dowcipny, żywy, grany z ogromnym temperamentem i nie usiłował wydobywać ze sztuki czegoś, czego w niej nie ma. Spketał nie był ani „filozoficzny“, ani gorzki, ani pesymistyczny, ani cyniczny.



Lech Skotimowski (Rzeczniczki) i Maria Górecka (Idalia)

Nie został zrobiony według żadnego przygotowanego z góry „izmu“. Goliński pozostawił wystarczająco dużo miejsca na „rozkręcenie się“ dowcipu Swinarskiego, na maksymalne ożywienie — choć w przyjętych granicach konwencji — postaci, którym nie wolno stać się abstrakcjami. Utwory sceniczne Artura Marii Swinarskiego zostały przecież napisane według dobrych wzo-

rów komedii bulwarowej, gdzie charakterystyczne, typowe sylwetki ludzkie służą jakiemuś morałowi a nie na odwrót, jak we współczesnym francuskim dramacie filozoficznym. I tak każda z osób otrzymała swoją własną twarz, równocześnie bardzo typową dla poszczególnych „gatunków” rodzaju ludzkiego. Sceptyczny kupiec Szem (Stanisław Michalik) oraz jego sprytna i bardzo kobieca żona, Machmeda (Irena Miszke), nieco prostacki, lecz męski Cham (Andrzej Balcerzak) wraz z małżonką, bieglejszą w sprawach kuchni niż polityki, Parą (Halina Ziółkowska). Na specjalną uwagę zasługuje znakomity, jakby wyjęty z ksiązek dla dzieci, Murzyn, Jafet (Jerzy Smyk). Danuta Zaborowska w roli Szechory stworzyła również bardzo charakterystyczną postać, o bardzo wyrazistej mimice — postać ta niewątpliwie pozostaje w pamięci. Kazimierz Iwiński nakreślił niebanalnie postać Noacha, — zamiast tradycyjnego proroka z długą brodą i natchnionym wzrokiem, ujrzelśmy uśmiechniętego uprzejmie dyplomata. Widzowie doszukiwali się nawet podobieństwa pomiędzy Noachem a jednym z polskich mężów stanu. Oszczędna i gustowna scenografia Teresy Targońskiej nadała całości właściwy charakter.

Sekretem sukcesu „Araratu” na scenie lubelskiej jest dla mnie między innymi uzyskana w dużym stopniu zespołowość gry — nikt nie wyłączał się z całej grupy wykonawców, nie grał dla siebie samego. Dzięki temu ostatnia scena drugiego aktu wyszła naprawdę znakomicie, w tym chaosie miotanej wiatrem arki został zachowany niezłomny ład reżyserskiej ręki.

II

Gdy wybierałem się na „Fantazego” w Lublinie, towarzyszyły mi objawy współczucia, że nie zobaczę już Jana Kreczmara, który gościnnie kreował tytułową rolę. Tymczasem, ja sam, nie odczuwałem specjalnego żalu z tego powodu. Kreczmar pamiętam z przedstawienia w Teatrze Polskim, podobnie jak pamiętam, choć błędnie ten obraz coraz bardziej — Juliusza Osterwę, w tej wdzięcznej i fascynującej roli. Interesował więc mnie miejscowy aktor — jak poradzi sobie z rolą? Jaką koncepcję uzna za swoją? Początkowo Zbysław Jankowiak, lubelski odtwórca roli Fantazego, rozczarował mnie. Był nieco nazbyt sztywny, nienaturalny, przypominał młodego buchaltera na wydaniu. Ale potem, już w drugim akcie zaczął się zmieniać zdecydowanie na korzyść, precyzować koncepcję swojej roli. Był to niewątpliwie inny Fantazy, nie nawiązujący ani do ujęcia Kreczmara, ani Osterwy. Inność jego polegała na większej lekkości i beztrose — większej „francuskości”. Jankowiak wydawał się częściowo bawić zdarzeniami, w które los go wplątał. Jego znakomici poprzednicy wydawali się więcej myśleć w tej roli.

Słowa:

*„Patrz, jakich komików
wydaje Polska... aż do grobu śmieją!”*

— w jego wykonaniu zabrzmiały jakoś inaczej, mniej sarkastycznie, bardziej dosłownie. Fantazy lubelski jest istotnie bar-

dziej komiczny. Tym śmieszniejszy w zestawieniu ze skupioną, poważną Dianną (Teresa Lassota), o której można by powiedzieć słowami Wojciecha Natansona z jego „Szkiców teatralnych”: „Wyobrażam sobie Diannę jako współuczestniczkę spisku rewolucyjnego, jak nią była wierna towarzyska Konarskiego — Ewa Felińska”.

Sam Słowacki pisał o niej:

*„Ta wybielona wiatrem na Sybirze
Dianna, która czarnymi oczyma
Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
Stęszy tam jakieś tańczuchy...”*

Gorzka „śmieszność” Fantazego wyrasta właśnie w zestawieniu z Dianną, z prostym zesłańcem Janem, z Majorem. I na nic nie przydadzą się drwiny Fanta-



Teresa Lassota (Dianna), Aleksander Aleksy (Major)
i Stanisław Mikulski (Jan)

zego ze swej dawnej kochanki — los mu ją właśnie przeznaczył, również w pewnym sensie „śmieszna” i odizolowaną od rzeczywistości hrabinę Idalię...

Cieszę się, że reżyser lubelskiego przedstawienia, Jan Kreczmar, skierował postać Fantazego takim torem.

Odpowiada mi bardzo takie postawienie sprawy, odmłodzenie Fantazego i rezygnacja z wszelkiego preintelektualizowania tej postaci. Oczywiście, do tak czy inaczej pojętej roli potrzeba aktora wyjątkowo wrażliwego i subtelnego. Jankowiak miał bardzo dobre momenty, mścił się jednak na nim brak doświadczenia aktorskiego. M. in. nadużywał gestu podnoszenia do oka łorgnon. W całości jednak stworzył postać interesującą.

Kreczmarowi udało się wydobyć z „Fantazego” wiele niezauważalnych przedtem smaczków. Do nich

należało przeobrażenie pokojówki, Helenki, w klasyczny typ francuskiej subretki, przeobrażenie, które w pełni się powiodło dzięki zdolności Marii Możdżeńiówny. Do nich również należała cała świetnie zrobiona scena odczytywania bileciku Fantazego przez lokaja Idalii (Andrzej Chmielarczyk), wraz z wprowadzeniem przez reżysera w życie słów tekstu: „A tu się ludzie w domu jakoś tułają...” Na „francuskiej” linii tej inscenizacji „Fantazego” znalazła się również hrabina Idalia, kreowana przez Marię Góreczką, która tę postać potraktowała nieco odmiennie, odbiegając od klasycznej już roli Romanówny. Idalia w lubelskim przedstawieniu była mniej egzaltowana, bardziej skupiona, nie zatracając jednak nic ze swego wielkopańskiego gestu. Szkoda tylko, że piękny wiersz Słowackiego w jej recytacji nie zawsze brzmiał dość wyraziście i czasem ginął dla widowni. Zresztą jest to wada kilku aktorów występujących w tym przedstawieniu.

Mniej dopisała reszta wykonawców. Hrabia Respekt (Jarosław Skulski) miał gestykulację nienaturalną i przesadną. Jego małżonka nazbyt gwałtownie zeszła z piedestału hrabiny Respektowej. Sam pomysł nie jest zły, próba „zdeklasowania” kresowej arystokratki mogłaby bardziej uwspółcześnić tę postać. Ale Maria Wojdalińska zbyt odeszła od stylu całości przedstawienia, wprowadziła ujęcie farsowe — tutaj nie na miejscu.

Rzeczniczki — to osobny problem. Dawno już zwracano uwagę, że całkowitym nieporozumieniem jest traktowanie Rzeczniczki jako niepoważnego cienia Fantazego. Rzeczniczki był marszałkiem szlachty,

więc piastował godność bynajmniej nie małą jak na owe czasy. Przedstawienie lubelskie nie wykorzystało jednak tej informacji, która mogłaby ukazać postać w nowym świetle. Ale Lech Skolimowski i tak właściwie nie stworzył żadnego określonego typu. Diancie należą się słowa uznania za postać oszczędną, skupioną, przekonywającą w wyrazie. Natomiast jej siostrzyczka, Stella (Xenia Jaroszyńska) była nieznosnie słodziutką, ubrana w dodatku w bardzo niegustowną, różową sukienkę. Aleksander Aleksey w roli Majora wzruszał, szczególnie w scenie śmierci, która dzięki temu nad podziw szybko dobiegła końca w tym przedstawieniu. Podobał mi się również Stanisław Mikulski w roli Jana, przykład gry wyrazistej, choć bezpretensjonalnej.

„Współdziałanie” Jerzego Torończyka i Teresy Targońskiej dało pozytywny rezultat. Co prawda oprawa scenograficzna pierwszego aktu mniej mi się podobała (sprawa barw), ale za następne należy się, według mnie, szczere uznanie.

Muzyka Ryszarda Schreitera, jak zwykle, dobrze skomponowana.

No i wreszcie uwaga końcowa: przedstawienie, niestety, mimo wszystkich swych zalet, nie miało właściwego klimatu. Wiersz Słowackiego brzmiał miejscami jakoś drętwy, aktorzy na ogół nie wkładali pasji w swoje role. Być może woleliby znaleźć się o piętro wyżej i zagrać w „Araracie”? Dowodziłoby to, że układając repertuar należy nie tylko myśleć o dogodzeniu publiczności — o aktorach również.

Konrad Eberhardt

Włodzimierz Chelmiński ROZMOWA Z SOBĄ

Gawęda z okazji Wystawy Okręgowej Plastyków w Lublinie.

Ruysdael: „Pochwyć należy nie tylko formę, lecz i duszę zjawiska.”

Przeprowadzone z sobą podczas bezsennej nocy rozmowy ujmuję wzorem roku ubiegłego w formę dialogu, w którym silącę się na powagę Mądralę przedrzeźnia nie obawiający się śmieszności Naiwny.

Mądrala: Na zebraniu dyskusyjnym w Klubie Związków Twórczych mistrz W. Filipiak wszem wobec oświadczył, że laik zabierając głos o malarstwie — może to uczynić jedynie w formie pytania skierowanego do Mistrza! Powiedźcie, drodzy, czy jest jakikolwiek literat, który postawiłby tak sprawę, jak mistrz Władysław? Jeśli takiego nie ma, to dlaczego sztuka malarska ma być faworyzowana? Przypominam, że Sewer przed oddaniem pracy do druku odczytywał każdy fragment swej powieści leciwiej kucharce, licząc się bardzo z jej zdaniem. Więcej jest literatów, którzy dla stwierdzenia reakcji odbiorcy gotowi byli iść śladem Sewera.

Dalej stwierdzam, że malarze lubelscy wyrażają się w sposób różny o dziełach swych kolegów, jakby nie istniały w malarstwie żadne kryteria. Ludzie obdarzeni dużym temperamentem, jak pan Władysław, są w sądach swych o pracach innych malarzy ekskluzywni, niesprawiedliwi.

Jeszcze jedno spostrzeżenie. Mistrz Władysław częstokroć popełnia błędy w ocenie swych własnych możliwości. Pragnie uchodzić za chłodnego intelektualistę, będąc emocjonalistą. Lekceważy swoją wrodzoną, wspaniałą brawurę (portret Grabowskiego w roli Dyndala), a czasem nadmiernie ulega modnym kierunkom z gatunku „łamiągówek”.

Naiwny: Przyznam ci się po cichu, że to wszystko mało mnie obchodzi. Malarstwo jest albo dobre, albo złe i basta! Kto umie odróżnić dobry obraz od złego, ten zna się na malarstwie. Jak to robi — to jego rzecz.

Mądrala: Walezyński twierdzi, że jeden jedyny obraz na wystawie oprócz jego arcydzieł zasługuje na wyróżnienie — to pejzaż Kiełsińskiej! A inni plastycy uśmiechają się ironicznie. Stawia to tym bardziej pod znakiem zapytania sądy artystów, że w roku zeszłym nie było kto, bo Zenon Kononowicz w podobny sposób wyraził się o niewielkim pejzażu teźże artystyki!

Naiwny: Brawo! Ta niewiasta ma tak jak ja niezawodne spojrzenie noworodka na świat! Szkoda tylko, że maluje te szpetne domiska.

Mądrala: Obrazy Waleszyńskiego są najbardziej przemyślane na wystawie...

Naiwny: Są znakomite, genialne i nudne! — Nudne tematy, formalnie, nudne, bo się powtarzają do znudzenia!

Mądrala: A Karmański czyż się nie powtarza?

Naiwny: Tak, ale to inna muzyka. Karmański jest urzęczony Kazimierzem i z tej pięknej krainy czerpie natchnienie...



Zofia Gilarowska-Kietlińska — „Jesień na przedmieściu”
(olej)

Mądrala: Przesadzasz znaczenie tematowi...

Naiwny: Postuchaj. Obraz Pakulskiego, malarsko słaby, działa na widza przez temat dziwnie wyrażony. Przejmującą makabrą są tu te małe ludzkie potworki z rykami prosią garnące się po pokarm do matki o twarzy Madonny.

Mądrala: A propos Pakulskiego. Przyznasz jednak, że dobry jest jego obraz „Pijawki”.

Naiwny: Musi być dobry, jeśli z ust pewnego malarza o nieskażonej młodości wywołał z przekonaniem wygłoszony sąd: to najlepszy obraz na wystawie!

Mądrala: Pakulski i Surdacki to nasi ekspresjonści.

Naiwny: Szufładkuj a staniesz się wyrocznią. Co powiesz o naszych holenderskich turystach?

Mądrala: Filipiak nie zmarnował czasu w Holandii. W swych akwarelach dał artystyczną wizję Weneccji Północy — Amsterdamu. Zwłaszcza trzy prace (nr 13, 14, 18) to małe arcydziełka...

Naiwny: Uzasadnij. Od tego jesteś.

Mądrala: Śmiała w nich kreska, kolor bogaty, miękkość i siła zarazem. Przez te trzy prace artysta nie zatracając swego piękną indywidualnego włączył się w nurt nowoczesnej sztuki...

Naiwny: Wytłumacz mi, Mądralo, czy te arcydziełka są to abstrakcje, którymi zachwycają się dziś niedawni ich wrogowie?

Mądrala: Tak, jeśli abstrakcjonizm potraktujemy nie jako oderwanie się od rzeczywistości, ale jako syntetyczną artystyczną formę, kładącą nacisk na cechy ogólne, nie indywidualne przedmiotu.

Naiwny: Jesteś mądry mądrością słownika. Co myślisz o „Malarce” tegoż artysty?

Mądrala: Tytuł nieodpowiedni. Kobieta potraktowana na równi z innymi fragmentami tworzy jedną całość w tym bardzo dekoracyjnym obrazie, który złośliwie porównał do odrutowanej skorupy. Dzieło to należy uważać za lądęci śpiew Mistrza z jego ostatniej fazy. Wolalem go z epoki, kiedy malował Dyndałę i woleg go obecnie w pracach amsterdamskich.

Naiwny: Co powiesz o drugim podróżniku — Łukawskim?

Mądrala: Na razie odbicie jego wrażeń z podróży ma charakter intelektualny, co znalazło swój wy-

raz w bardzo interesującym odczycie. Przedstawione na wystawie prace są z wcześniejszego okresu i niczym nie są związane z pobylem artysty w Holandii. Mamy nadzieję, że po dłuższym przetrwaniu swych wrażeń artysta ten, mniej od Filipiak gwałtowny i bezpośredni, zadziwi nas niejednym jeszcze dziełem. O obecnych na wystawie dziełach można rzec, że... że...

Naiwny: Podpowiem ci. My, naturmiesz, stojąc twarde na realnym gruncie, a nie wychodząc z założeń geometrycznych, uważamy, że oceny tego malarstwa winni dokonać naukowcy. Stop!

Mądrala: Tak nie można. To jest jednak dobry malarz. Są to prace, które mają i rysunek, i kolor, i kompozycję.

Naiwny: A w sąsiedztwie znajdujący się Ziemiński, który powinien się nazywać Nadziemiński, sądząc z obrazków?

Mądrala: Przyznam ci się pod sekretem, że nie podoba mi się jego prace. Takie są te jego malowanki wygładzone, rozbielone, bez rasji, ale c'c'c nie chcą trzeba starać się zrozumieć to zimne malarstwo, by się w opinii utrzymać „na poziomie”. Wychwalał je malarz pełen entuzjazmu, więc chociaż nie podał żadnego argumentu, coś w tym musi być.

Naiwny: Abramowicz to malarz z prawdziwego zdarzenia. Jak go oceniasz?

Mądrala: W akwarelach, w których najlepiej się czuje, tonacja raczej szara niż nasłoneczniona, z powodu dłuższego przebywania artysty na Wileńszczyźnie. Technika szeroka, nieco szkicowa. Abramowicz operuje plamą nie bawiąc się w szczegóły. Przeważa u niego rodzajowość, w tej chwili trochę zatracona z powodu braku kontaktu ze wsią. Realista



Władysław Filipiak — „Amsterdam. Widok na kościół św. Aarona i Jakuba” (akwarela)

gardzący efekciarstwem. W kapitalnych rysunkach koni zdradza się prawdziwy koniarz, jakiego już dziś wśród malarzy trudno spotkać w Polsce. Praca urzędnicza i brak pracowni malarskiej hamują rozwój twórczości tego utalentowanego artysty.

Naiwny: Dalej, słucham!

Mądrala: Widzimy na wystawie 3 grupy malarzy: kazimierzowską, zamojską i naleczowską. Wiele argumentów przemawia za leczeniem się w grupy, wiele też przemawia za marszem w poj dynkę. Mniej odporne jednostki, przy bliskim współzwiązaniu, łatwiej mogą ulgać wpływom mocniejszych indywidualności. Słupski tak dalece przejął się Karmańskim, że obciera na wystawie malarka (och, ci malarze!) chwalać Karmańskiego wskazała na obraz... Słupskiego. Bardzo cenię Karmańskiego, który może poszczycić się dużą kulturą malarską, ale dobrze by jednak było „odkarmańszczyć” nam pejzaż Kazimierza — dać inną wizję tego czarującego zakątka. Czyni to czasem Zenon Kononowicz, ale tego poetę-malarza, tkwiącego głęboko

w swym własnym świecie, trudno nazwać typowym pejzażystą (jego „Kobieta z cytryną” ma pewne niedociągnięcia, niemniej to silna impresja). Najwięcej podoba mi się zimowy pejzaż Zenona Kononowicza. Wyciągnięta tu perspektywa wywołała u rywala grymas na twarzy i słowa, których starałem się nie dosłyszeć. Czyżby, jak u Bonnarda, obraz musiał już być koniecznie płaski? Czy to nie odradzający się schematyzm? Romuald Kononowicz robi dalsze postępy, coraz bardziej oddalając się od brata. Cóż więcej? Zamojska grupa dobrze się popisała. Szkicowaty, ale ja że sugestywny obraz Surdackiego „Rybaczy” budzi zachwyt nawet u nieskorych do chwytołów. W dobrym malarstwie „Wrześniu” ogarnięci paniką ludzie wywołują niepokój. Znakomita w swoim rodzaju „Cyganka” rekomenduje tego malarza jako wybitnego akwarelistę. Iwanciov zachwyca w swych delikatnych monotypiach, a w „Martwej naturze” nie „przemęczając” daje skończony obraz. Malarstwo Marka to „kość niezgody” u malarzy (och, ci malarze!). Jeden z nich chwalił, a drugi krzywił się twierdząc, że sztuka tego postimpresjonisty należy do przeszłości dawno przewyciężonej. Wrażeniowo ujęty „Portret kobiety” świadczy, że Marek, jak mało kto na wystawie, czuje kolor. Dobre drzeworyty Żurawskiego słusznie zostały zakupione przez Komisję.



Józef Abramowicz — „Konie z wyścigów” (węgiel)

Naiwny: Czy nie przesadzasz w chwaleniu?

Mądrala: Chyba nie, słuchaj dalej. Zahorska z grupy należącej, tak bez pardonu schlastana przez lubelskich kolegów (och, ci malarze!), w „Należczowskim pejzażu” pokazany bez asysty uboższych krewiaków, w lepszym świetle, nawet w oprawie majstersztyków Zen na Kononowicza nie psuje wrażenia całości. Natomiast drugi obraz tej artystki, świadczący o jej nieporadności, nie powinien być znaleźć się na wystawie. Zielonkawe, w chaotycznych plamach niebo odebrało kolor drzewom...

Naiwny: Dlaczego nie mówisz o Polu? Przecież to... Artysta?

Mądrala: Oczywiście, oczywiście...

Naiwny: Czy dlatego tak mało poświęcają mu słów, że to człowiek o cichym sercu?

Mądrala: Ten artysta bardzo zyskuje przy bliższym poznaniu. W „Pejzażu” jakże subtelnie są zróżnicowane zieleń. W poszukiwaniu nuansu, a nie znajdując go w zieleni, dał coś zbliżonego do niej. W „Martwej naturze” jest jakaś ascetyczna skromność, surowość i niezawodność ręki. Nic blagi.

Naiwny: Dodaj, że jest nastrój w pejzażu, którego ty nie czujesz, boś zatracił naiwność. Pol nie tylko myśli, lecz i czuje.

Mądrala: Sarnecki próbuje się odmłodzić. Niezupernie mu się to udaje. Głowa „Babci” realistyczna, szata — kubistyczna, ręka — pisassowska! Natomiast w pejzażu, malując po staremu, tylko w kolorycie zmienionym na korzyść, Sarnecki odnosi pełne zwycięstwo, ocenione przez Komisję Zakupów.

Naiwny: W „Babci” błędy błędami, ale obraz przykuwa uwagę widza.

Mądrala: Jeremi Królikowski debiutuje w Lublinie w 2 akwarelach. W kolorycie mocny w jednej pracy, delikatny — w drugiej, daje dowód, że w malarstwie można być jednocześnie i mocnym, i delikatnym. Zwłaszcza tam, gdzie artysta jest mocny, ręce widza układają się do okłasków.

Obrazy Kosiorzewicza miały urok prymitywu. Teraz urczył puszek zaginął, został realista. W pejzażu na pierwszym planie umieszczony jest mur, w którym artysta holduje naturalizmowi, to już nie postęp, lecz cofanie się. Natomiast „Kaseta z farbami” jest dojrzałym tworem świadomego swych środków artysty.

Stefania Łęczner, choć tak młoda, w staroświeckim stylu (à la Stanisławski) w pejzażu bardzo mi się podoba, w „nowoczesnej” zaś kompozycji — raczej nie. Tam oddaje się pracy twórczej, tu — kombinuje.

Naiwny: Gadulo, zapomniałeś o Barbarze Węgorrek. A przecież to...

Mądrala: Otóż kiedy po raz pierwszy rzuciłem o'iem na portret, wydało mi się, że to tandeta, jakieś nieporadne, z grubsza ciosane malarstwo pacykarza, który między dwoma smarowanymi farbą sztyldami kropnął portret kobiety. Wpatrując się widzę, jak dalece się omyliłem. To ciekawa praca. Nie przemawia w niej bynajmniej niewolnicze naśladownictwo średniowiecza. Tło nowoczesnych kilimów nieodpowiednie, będąc jednak dys retne i w tym samym nasileniu barw — harmonizuje z postacią. Delikatna, kobieca ręka rozprawiała się z tym modelem dobywając urok niewieściej postaci z szeroko na świat otwartych oczu, dziewczyczych kształtów i formy tak odpowiedniej dla charakteru modela. Na pewno przesadziłem, ale przesada w ocenie dzieła, w którym jest tak duży ładunek pozytywnych wartości, jest raczej pożądana...

Podsiechowski: monotypia „Akt” nie zachwyca amatorów kobiecych wdzięków, ale bardzo się podoba wrażliwym na rysunek i ekspresję. Nie tak oryginalny, w stylu japońskim pejzaż został zakupiony przez Komisję.

Naiwny: Nie powiedziales dotąd ani słowa o Westfalu.

Mądrala: Uczyniłem to świadomie, pragnąc zamknąć moje uwagi o sztalugowym malarstwie holdem oddanym nestorowi malarzy lubelskich. Sędziwy mistrz daje przykład godny naśladowania: dowiodł, że pracując całe życie i u'ikając rujnujących siły uciech można w 80 roku malować dobrze, z nieslabnącą wrażliwością, bez drżenia ręki. Jego „Wjazd do Kazimierza” to praca, która bez żadnych względów na wiek autora została wyróżniona przez Komisję.

Naiwny: Zdaje się zapominasz o...

Mądrala: O Targońskiej? Właśnie miałem powiedzieć, że nie zawsze komponuje jed' o'ecznie kostiumy i tło. Zmuszona stosować się nieraz do dekoratora, robi to z wielkim powodzeniem. Jej tempery są w dobrym guście, zdecydowane w rysunku, dyskretne w kolorze, dobrze charakteryzują postacie sceniczne, dla których zostały stworzone.

Naiwny: Naprawdę dobre.

Mądrala: Jerzego Torociżyka znamy dawno ze sceny i często podziwiamy. Jego trzy projekty dekoracji są bardzo udane. Utwory ze srebra Joanny Szydłowskiej są prawdziwymi dziełami sztuki. Rzeźba głowy Romualda Kononowicza wykonana przez Strzyżyńskiego — udana. Kinkiet Stanisława Gosławskiego i Jerzego Gasiorowskiego zaleca ten rodzaj metaloplastyki do szerszego rozpowszechnienia.

Naiwny: No, dobiegliśmy końca oceny.

Mądrala: Jeśli nie omówiłem jeszcze paru prac, to stało się to z winy NOTU, który wyparł plastyków z sali mimo widniejącej na afiszu zapowiedzi trwania wystawy w listopadzie i grudniu. Nie było nawet wzmianki w pismach o przedwczesnym zakończeniu dorocznej wystawy.

N a i w n y: S' ończyłeś? Wiesz, co ci z kolei powiem? Moim zdaniem, aby można było ocenić w pełni działalność i rolę, jaką w służbie społecznej gra plas.yk, którego osiągnięcia demonstrowane na wystawach są skromne w stosunku do wielkich kosztów lożowych przez państwo na cele popierania sztuk plastycznych,

należy pokazywać na wystawie również projekty prac wykonywanych za pośrednictwem spółdzielni.

M a d r a l a: W tym punkcie zgadzamy się rajzupelniej. I tym akcentem zgody zakończymy chyba naszą gawędę.

Włodzimierz Chelmiński

Z ŻYCIA LUBELSKIEGO ODDZIAŁU ZLP

W roku bieżącym powiększyło się grono członków rzeczywistych Oddziału o 2 osoby: kol. dr Janinę Pli-szczyńską i kol. Zygmunta Mikulskiego. Spółkań autorskich i odczytów literackich odbyło się 64. Uka-zały się powieści: Eugeniusza Gołębiowskiego — „Do-żywocie Pana Woyszy“ i „Przygody królewskiego pie-chura“ („Czytelnik“) i Józefa Nikodema Kłosowskiego — „Ziemia bez skarg“ (Ludowa Spółdzielnia Wydawni-cza). Ponadto Anna Jakubiszyn wydała pracę „Teatr francuski od r. 1789 do 1848“ (P. W. N.), Kazimierz An-drzej Jaworski przekład powieści Iwana Wasilenki „Zaczarowane widowisko“ (Nasza Księgarnia) oraz przekłady 9 liryków w Antologii Lermontowa (PIW), Maria Bechczyc-Rudnicka: przekłady kilku wierszy w zbiorze „Puszkין w pieśni“ (Polskie Wydawnictwo Mu-zyczne); poza tym podpisała umowę z Biblioteką Naro-dową „Ossolineum“ na druk komedii Emila Augiera „Zięć pana Poirier“ i umowę z Teatrem Wojska Pol-skiego w Warszawie na wystawienie przełożonej wspól-nie z K. Eberhardtem komedii Audibertiego „Kraży zło“.

Nagrody literackie otrzymali: Eugeniusz Gołębiow-ski (wojewódzka), Józef Nikodem Kłosowski (miejska), Zbigniew Jakubik (Wydziału Kultury WRN).

*

Józef Nikodem Kłosowski — laureat tegorocznej na-grody literackiej MRN w Lublinie — jest autorem na-

stępujących powieści: „Tańcząca karczma“ (1933), „U-roczyisko“ (1937), „Jarzmo“ (1947), „Mgła“ (1948), „Wal-



ka z aniołem“ (1949), „Czarna wiosna“ (1953), „Gwiaz-dy nad polaną“ (1955), „Ziemia bez skarg“ (1956).

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

NOWA RZECZ GOŁĘBIOWSKIEGO

Po świetnym, lecz szarpającym serce „Dożywocie pa-na Woyszy“ Eugeniusz Gołębiowski wydał osta-tnio, również w „Czytelniku“, inną opowieść histo-ryczną z XVII wieku, mianowicie dramatyczne, lecz pełne wigoru i humoru „Przygody królewskiego piechura“. Bohaterem poprzedniego utworu Gołębiow-skiego był zacięły w chciwości i samowoli szlachcic, plastycznie rysujący się na tle niezmierniej niedoli „ferrarzy“ i chłopów; natomiast w „Przygodach kró-lewskiego piechura“ tłem stała się buńczuczna i walecz-na, ale warcholska i samolubna społeczność szlachecko-magnacka, podczas kiedy na pierwszy plan wysuwają się żołnierze-chłopi z tak mało dotychczas popularyzo-wanej w literaturze „piechoty wybrańckiej“. Dla przedstawienia swojego bohatera i jego kompanów Go-łębiowski obrał drugą połowę XVII stulecia; jego ber-

dysznik, a później dziesiętnik i oficer Joakim wywodził się ze wsi sandomierskiej, bił się pod Sieniawą, Pło-skirowem, Wiedniem i Parkanami. Opowieść wartko przebiega szlakami żołnierskiej zaprawy poprzez roz-ległe przestrzenie między Wisłą a Dniestrem, następnie między Wisłą a Dunajem; stosunki społeczne, oraz wię-skie i małomiasteczkowe bytowanie przedstawicze są w niej jędrnie, od strony obserwacji żołnierskiej; zasia batalistyka polska uzyskała nowe ujęcie, w którym wyćwiczone do wojaczki chłopstwo nieźle daje sobie radę z tatarskimi zagonami i nieraz toruje drogę decy-dującym natarciom pancernych i husarii.

„Przygody królewskiego piechura“ pisane są rów-nież w formie osobistego wspomnienia i odznaczają się tymi samymi walorami, co „Dożywocie pana Woyszy“. Jest to znów małe arcydziełko, uderzające bezpośred-

njęcią, która od razu podbija czytelnika. Wielka to sztuka — nadać takiemu pseudo-pamiętnikowi pozór autentyczny oraz wyrazić tyle niewątpliwej prawdy o ludziach stworzonych na podstawie uczonej znajomości XVII stulecia, jego historii, jego społeczno-gospodarczej struktury, jego znamiennych, dla czytelnika uchwytnych przemian. Nie spotykamy się u Gołębiowskiego z obrazami statycznymi, sztucznie powiązanymi przy pomocy jakiejś konwencji czy też narzuconej bohaterom akcji. Opowieść nie tylko sprawia wrażenie autentyczne, poza tym jest w niej coś z organizmu samoistnego, żyjącego własnym rytmem; przeżywamy ją jak wyrwany z tamtych dziejów żywy ich fragment, który jest zdolny w pełni zaspokoić głód artystycznego złudzenia. Sprzyja temu, oczywiście, rysunek wszystkich postaci, całkowicie pozbawionych jakichś bohaterkich niezwykłości — wciąż mamy do czynienia z ludźmi z krwi i kości, bez tendencyjnej szminki. Subtelne poczucie smaku i dojrzałość autora pozwalają mu na ograniczenie się do tych środków i elementów pisarskich, które są rzeczywiście niezbędne.

Trudno byłoby nawet przez bardziej dociekliwą i obszerniejszą analizę wykryć sekret tak znacznych osiągnięć w ostatnich utworach Gołębiowskiego. Nie polega ten sekret jedynie na obranej tematyce czy na jej ujęciu, na barwności fabuły i na bogactwie językowym, na plastyczności i na tej prawdzie obyczajowej lub psychologicznej, która w każdym niemal zdaniu jedną książkę zainteresowanie i uznanie czytelnika. Wymienione zalety nie są łatwe do osiągnięcia, ale przecież najtrudniej jest nadać utworowi jego własny, żyjący kształt. Jako pisarz, rozumiem także znaczenie dosadności i rodzimej rubasznosci, doceniam umiejętnie zastosowane patynę i folklor, ale próbowali tego wszystkiego również i inni pisarze współcześni, tymczasem Gołębiowski chyba najtrafniej zbliża nas do swojego

bosiego wojska, tych wczesnych poprzedników chłopstwa spod Racławic i z Legionów Dąbrowskiego. Wydaje mi się, że czynnikiem decydującym stała się w utworach Gołębiowskiego własna artystyczna wizja zrodzona w doskonałym życiu się z epoką. Duży talent i wielka praca, kiedy idą w parze, zazwyczaj wieńczą się takim właśnie doniosłym skutkiem.

Należy dodać, że opisane przez Gołębiowskiego zadanie starcia chłopskiej piechoty z Tatarami i zupełnie oryginalny obraz odsieczy wiedeńskiej, widzianej kmięcymi oczami, powinny by właściwie trafić do szkolnych wypisów, od kilku lat sztucznie faszerowanych wypocinami naszych wydanych, szyćko przemijających „wielkości”. To raczej Gołębiowski jest prawdziwie postępowy, jednocześnie tkwiąc korzeniami w tradycji ludowej i narodowej. Jak się okazuje, najlepsza to recepta przy torowaniu literackich ścieżek, które prowadzą do odnalezienia źródeł polskiej rewolucji. Wśród ostatnio wydanych książek o pokrewnych zamierzeniach „Przygody królewskiego piechura” wyróżniają się poza tym starannością i zwięzłością opracowania. W szlachetnej krwi pulsującej w tej nowej opowieści nie ma a i kropki literackiej czy publicystycznej wody; dzięki temu berdysznik Joakim, „z chłopskiego jajka kur”, na trwałe wchodzi pomiędzy najmilszych dla nas bohaterów polskiej powieści historycznej.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

Post scriptum. Chciałoby się Autora uściskać za nieden śliczny obrazek. Na przykład — ten, ze strony 76: „Jakby za czarną chorągwią jechałim w styczniową noc. Jeno draganowie weseli byli i z panem Wojką pohukiwali, jak to bywa we zwyczajaju, kiedy się jedzie wilczą drogą o zimowej nocy”. Ale przydając swemu Joakimowi tyle własnej poetyczności Gołębiowski zawsze pamięta o utrzymaniu się w charakterze. (S. W.)

O CZYM PISAŁA „KAMENA“ PRZED 20 LATY

Grudniowy zeszyt „Kameny“ z r. 1936 zawierał rozważania Wandy Melcer „Którędy wędruje Joanna?” (na temat powieści Ewy Szelburg-Zarembiny), wiersze Józefa Czechowicza, Józefa Łobodowskiego, Olgi Daukszy, Jerzego Kamila Weintrauba, Ludwika Świeżawskiego, Włodzimierza Słobodnika, Jana Bolesława Ożoga, prozę poetycką Leo Lipschütza, przekłady: Puszkina „W zaraniu życia” (tłum. Julian Tuwim), Aleksy Apuchtin „Muchy” (tłum. K. A. Jawor-

ski), Maksymilian Wołoszyn „Widzenie Ezechiela” (tłum. J. Łobodowski), Boris Pasternak „Z cyklu „Choroba” (tłum. K. A. Jaworski), polemikę K. W. Zawodzińskiego z St. Napierskim na temat genezy wiersza A. Słonimskiego „Matko Europo”, przegląd poezji K. A. Jaworskiego (o zbiorach Stefana Napierskiego, Tadeusza Hollendra i Antoniego Kasprówicza), kronikę słowiańską i noty.

